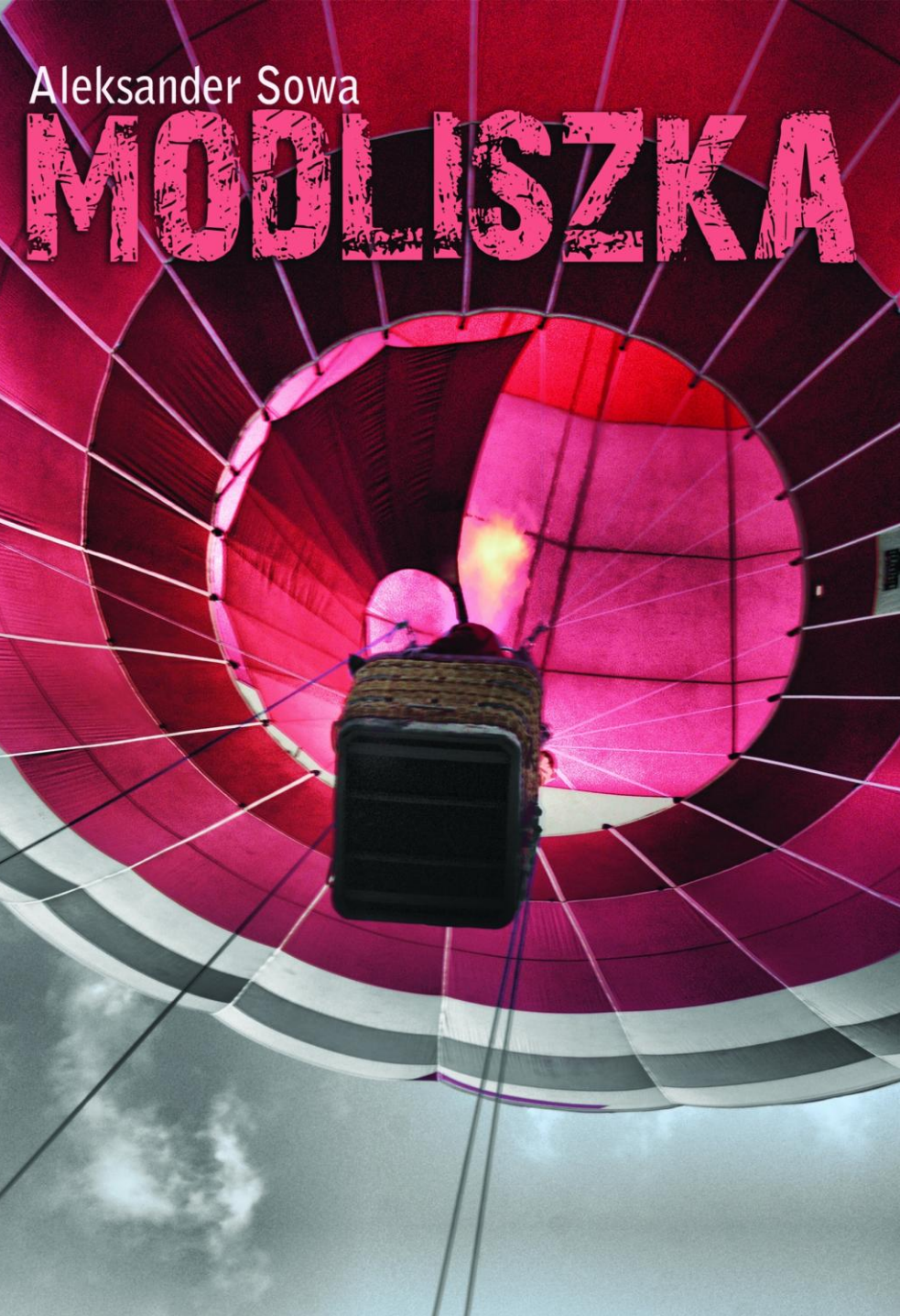


Aleksander Sowa

MODLISZKA



modliszka

Aleksander Sowa



© Copyright by Aleksander Sowa 2012

Okladka: Małgorzata Orlik & Aleksander Sowa
Zdjęcia: Adrian Wesółowski & Aleksander Sowa
Redakcja i korekta: Łukasz Mackiewicz –
eKorekta24.pl

ISBN: 978-83-272-4138-2

--

Aleksander Sowa | Self-Publishing
www.wydawca.net

**Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie,
rozpowszechnianie części lub całości bez
zgody wydawcy zabronione.**

Opole, grudzień 2013 r.

1.

Nie zamierzałem zostać mordercą. Nie chciałem być samobójcą – pomyślał w ów chłodny, grudniowy poranek, nim zapadł w sen, który nigdy miał się nie skończyć.

Upadając na samochód, łamie kręgosłup. Odbija się od dachu furgonetki i spada na żywopłot. Wreszcie zatrzymuje się na trawniku, na plecach, z rękoma rozrzuconymi niczym nagus od da Vinci.

Chwilę później kierowca sprintera 315 prowadzi samochód bez niepotrzebnego ryzyka, ale zdecydowanie i pewnie. Nie mijają cztery minuty, jak zatrzymuje karetkę nieopodal, przywożąc sanitariusza, pielęgniarkę oraz lekarza.

– Doktorze! Szybko, tutaj – ktoś krzyczy pochylony nad ciałem.

– Intubacja! Trzysta miligramów atropiny w tętnicę podobojczykową – szepcze lekarz, oceniwszy w bladej plamce światła źrenicę mężczyzny.

Mężczyzna nie oddycha i nie ma tętna. Od śmierci dzieli go tylko sekundy. Laryngoskopem lekarz sprawdza gardło, wprowadza plastikową rurkę w tchawicę i przekręca zawór.

– Zaintubowany.

Ratownik uporczywie uciska klatkę piersiową. Mostek ofiary rytmicznie ugina się co pół sekundy pod naporem wyprostowanych w łokciach rąk chłopaka w czerwonej kurtce.

– Podłączam – lekarz dodaje o wiele spokojniej. Na klatce piersiowej mężczyzny pojawiają się elektrody.

Jest chłodno, w powietrzu widać pierwsze tej zimy płatki śniegu. Spadają na ziemię niechętnie, jakby z zastanowieniem.

– Widzę go! – obwieszcza, rzuciwszy okiem na wyświetlacz elektrokardiogramu.

– Strzelamy? – ratownik odzywa się po raz pierwszy.

– Tak.

– Trzysta?

– Trzysta dwadzieścia – lekarz poprawia, szacując wagę ciała ofiary.

Jest gotów do defibrylacji. Właściwie, gdy otrzymywali wezwanie, powinni byli wziąć tylko worek na zwłoki. Upadek z wysokości przecież tylko jedno może oznaczać. Ale na zleceniu była jasna informacja. Ofiara żyje.

– Jest? – upewnia się lekarz.

– Tak!

– Sternum, apex gotowe – mówi, przykładając lewą elektrodę w okolicę żebra. Prawą przyciska do bladej skóry poniżej obojczyka. – Strzelam! – ostrzega.

Ratownik przerywa masaż. Rażone prądem ciało się unosi. Linia na wyświetlaczu EKG nagle się załamuje. Wpatrując się w ekran, lekarz dodaje pełnym ulgi głosem:

– Jest serce!

Po chwili wahania, już spokojniej, wylicza:

– Wenflon, kołnierz, szyny, twarde nosze.

W myślach tymczasem ocenia szanse mężczyzny przed sobą. Mniej więcej żadne... Jeden, dwa procent. Wprawdzie udało się wznowić akcję serca – analizuje – i pacjent żyje. Zostanie zabezpieczony do przewiezienia, oddycha, ale jest nieprzytomny i ma liczne obrażenia. Umrze, nim dojedziemy do szpitala – myśli.

W ciągu kilku minut szyny na rękach, nogach i kołnierz na szyi unieruchamiają ciało poszkodowanego. Siostra zakłada opatrunek na obficie krwawiący łuk brwiowy.

– W porządku – mówi.

– Zabieramy go? – Lekarz napotyka pytający wzrok ratownika.

W niebieskich oczach chłopaka widać tylko zmęczenie. Coraz większe płatki śniegu zaczynają wirować nad ziemią. Jest jeszcze zimniej.

– Tak.

Nosze z mężczyzną trafiają do wnętrza karetki. Teraz muszą dowieźć pacjenta żywego, więc liczy się każda minuta. Kierowca skupiony na jeździe pędzi do Izby Przyjęć Wojewódzkiego Centrum Medycznego w Opolu. Mimo wyjącej syreny i błyskających świateł nagle karetka się zatrzymuje.

– Szlag by trafił – kierowca klnie.

– Cholera, czemu nie jedziemy? – Lekarz wyraźnie się niecierpliwi. – Musimy go dowieźć!

Nim jednak kierowca zdąży cokolwiek odpowiedzieć, lekarz rzuca ostrzegawczo:

- Uwaga! Schodzi!
- Adrenalina?
- Trzy miligramy – odpowiada pielęgniarka. – W żyłę!

Pielęgniarka przesuwając tłok strzykawki, a lekarz chwytając elektrody. Ratownik skrzyżowanymi na klatce piersiowej rękoma znów uporczywie uciska mostek.

– Trzysta pięćdziesiąt – dodaje lekarz, patrząc chłopakowi w oczy. – Dobra, strzelam – ostrzega.

Nie czekając odpowiedzi, przykładając elektrody do nagiej skóry. Ciało mężczyzny napręża się.

– Co tam się dzieje? – krzyczy w kierunku kierowcy.

– Nie mogę przejechać, zablokowała przejazd.

– Kurrrwa! Zejdzie nam zaraz – lekarz denerwuje się głośno.

Prawdę mówiąc, nie wierzy już, że dowiozą pacjenta żywego. Mieli już serce. Oddychał, a tu nagle migotanie.

Kierowca trąbi. Na szczęście kobieta za kierownicą przytomnieje. Złotawy daewoo matiz przesuwając się. Padający już gęsto śnieg ogranicza widoczność.

– Dobra, ruszam – słyszą.

Mężczyzna za kierownicą natychmiast dodaje gazu. Chwilę później już pędzą Ozimską w gęstniejącym od śniegu wilgotnym powietrzu.

– Chyba go mamy – lekarz szepcze, wpatrując się w niebieską kreskę elektrokardiogramu.

Pielęgniarka obrzuca lekarza zaskoczonym spojrzeniem. Ratownik po raz kolejny przerywa masaż. Ra-

miona mogą odpocząć. Na czarnym tle wyświetlacza linia życia płynie wyraźnie.

Wszystko, co dzieje się z pacjentem, jest poza kierowcą. On musi się odciąć. Dla niego liczy się rytm syreny. Wsluchuje się w zawodzące dźwięki jak w muzykę. Wyprzedza ustępujące miejsca samochody. Zerknąwszy w lusterko, dostrzega w migotliwym, niebieskim blasku świateł bladą twarz mężczyzny na noszach. To nie jego rzecz. Wybór jest prosty. Jeśli źrenica reaguje na światło, pozostaje resuscytacja. Jeśli źrenica nie reaguje, można człowieka zakopać. Kierowca ma jak najszybciej dotrzeć do ofiary i wrócić z nią do szpitala.

– Ile jeszcze? Słyszysz? Ile? – lekarz wyrывa go z transu.

– Dwie minuty.

Zaraz wszystko będzie białe – myśli, widząc wirujące w powietrzu świeże płatki. Znowu słyszy ten głos. Tym razem jednak w innej tonacji.

– Jest rytm perfuzyjny! – lekarz nie kryje zaskoczenia.

– Zobacz, zespoły robią się regularne i wąskie! – ratownik wskazuje wyświetlacz.

– Powinno być dobrze!

Na twarzy ich obu maluje się słaby uśmiech.

– Dobrze? – pielęgniarka pyta z ironią.

Kobieta ma rację. Dodaje, spoglądając zmęczonymi oczyma przez szybę:

– Nawet jeśli przeżyje, to i tak nic z niego. Jest przecież cały potrząskany.

Kierowca wyłącza syrenę, wjeżdżając na podjazd. Po chwili pada krótkie:

– Na stół.

Zespół reanimacyjny przewozi nosze przez kolejne drzwi. Gdyby pacjent miał otwarte oczy, widziałby, jak sufit szpitalnego korytarza przesuwają się nad nim. Jednak jego oczy pozostają zamknięte. Ma nie być mu dane kiedykolwiek je otworzyć.

Rozstania bywają różne. Zabierają część naszego „ja”. Ludzie, odchodząc, nie mówią nawet „dziękuję”. Czasem zdarza się jednak, że ten wyrwany kawałek naszego „ja” okazuje się za ciężki, aby go unieść.

2.

Patrzy najbardziej obojętnym wzrokiem, na jaki potrafi się zdobyć. Często dopada ją jednak ciekawość. Musiał być kiedyś bardzo przystojny – myśli. Był przecież wysoki. Lubi wysokich mężczyzn. Zdaje sobie sprawę, że gdyby stanął obok, przewyższałby ją o głowę. Wiele by dała za jego zdjęcie, urywek filmu, cokolwiek, by wiedzieć, jak wyglądał wcześniej.

Może był nieśmiały? Albo samotny przez lata? – myśli. Nikt przecież go nie odwiedza. Kim był? Wygląda na nauczyciela wychowania fizycznego w liceum albo sprzedawcę komputerów – zastanawia się.

Przesuwając maszynkę do golenia, stara się nie patrzeć na jego twarz. Woli skupić się na precyzyjnym ruchu ostrza niechętnie ścinającego zarost. To pozwala nie widzieć, jak ramiona zajmują kusząco dużą przestrzeń łóżka. Nie musi widzieć tych rysów, harmonijnych, płynnych linii, których zazdrościć mogłaby większość kobiet.

Kiedy zobaczyła te pełne usta i długie łuki ciemnych rzęs, nie była pewna, czy to mężczyzna. Tymczasem taka jest jego chłopcęca, delikatna uroda – frenetyczna, kusząca. W swoim dziewczęcym aspekcie przepelniona niepokojącym erotyzmem.

Dziś w równym oddechu, unoszeniu się piersi i opadaniu jest coś, czego nie potrafi pojąć. Nie umie się od tego uwolnić. W tym rytmie wyczuwa niepokój. Intensywnie krąży nad głową wypełnioną myślami w pustym pomieszczeniu, niczym kołujące jastrzębie. A przecież golili go już nie raz.

Dokładnie zna to kościste ciało – smukły, obleczony resztką mięśni skórzany worek z pogruchotanym szkieletem. Nieproporcjonalnie krótkie stopy i długi penis. Uśpiony, już niepotrzebny i zbędny, niczym zużyty kondom, żałośnie bezcelowy. Pomarszczona moszna, porośnięta gąszczem twardych włosów, choć kiedyś na pewno – co do tego nie ma wątpliwości – utrzymywana w nienagannym porządku. Tacy mężczyźni traktują przecież genitalia bardzo intymnie, z pasją, niczym Japończyk bonsai – myśli.

Wąska miednica, wyraźne zębra i dziwna dziurka na małżowinie lewego ucha. Znamię powyżej prawej łopatki. Długa i wyraźna szrama na lewej piersi nieomal stykająca się z sutkiem. Jakże jest piękny. Nawet kiedy, jak ptak skrzydłem, przykrywa to udręczone ciało pościelą, czuje zapach choroby.

Kończąc, postanawia dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Był przecież tutaj, na tym oddziale, zanim zaczęła pracować. Starsze dziewczyny będą może coś o nim wiedziały. Kim jest, a przede wszystkim kim był – zastanawia się. Pijąc wieczorem cierpkie, szczypiące krawędzie języka wino, nie potrafi przestać myśleć o „jej mężczyźnie”. Tak nazywają tego człowieka dziewczyny z oddziału.

3.

Kawa wciąż gorąca, nie daje się pić. A o tej porze, rankiem, jej zapach w dyżurce kusi jeszcze mocniej. Co za cholerna ironia losu – dziewczyna myśli, dmuchając na aromatyczny plyn. Ze spojrzeniem utkwionym za oknem ucieka myślami. Bardzo daleko od szpitalnego oddziału, w okolice wczorajszego wieczoru.

– Cześć, malutka – wrywa ją z zamyślenia.

– Cześć.

– Co słyhać w wielkim świecie?

– A skąd ja mogę, u licha, to wiedzieć? – odpowiada ponuro.

Kobieta patrzy wnikliwie. Pracują razem od kilku miesięcy. Zdażyły się zaprzyjaźnić. Pielęgniarka jest od dziewczyny starsza, więc pewnie dlatego podświadomie traktuje ją jak córkę.

– Coś nie tak?

– Wszystko!

– Natka, aż tak źle?

– Gorzej być nie może – odpowiada.

Napotkawszy wzrok, natychmiast żałuje ostatniego zdania. Przypomina sobie o wszystkich, z którymi przyszło jej tutaj pracować. Zawstydzła się. Instynktownie czuje, o czym siostra Zosia pomyślała, słysząc jej słowa.

– Gdzie twój rozsądek?

– Wczoraj widziałam go w knajpie. Śpiewał na stole, na trzy głosy z moim sumieniem i przyzwoitością.

– I co? Opowiadaj! – Kobieta zachęcająco kiwa głową.

– No właśnie. Nic.

– Jak nic? – dziwi się stara.

– No nic. Wino wypilam sama. A teraz leb mi pęka.

– Niemożliwe! Jesteś przecież piękna, młoda. Widzę te wszystkie sterczące kutasy. Te spojrzenia, które nieustannie cię obmacują – wieszając palto, zaczyna trajkotać. – Masz dopiero dwadzieścia trzy lata!

– Dwadzieścia cztery.

– Gdybym ja miała dwadzieścia trzy lata... – mówi rozmarzona.

– Dwadzieścia cztery.

– ...nie popuściłabym żadnemu facetowi w okolicy.

Takiego wyznania akurat się nie spodziewała, a w każdym razie nie w takiej formie. Patrzy na Zosię krzywo znad filiżanki i parzy usta zbyt gorącym płynem.

– Nie pij gorącego, bo się poparzysz – słyszy natchmiast. – A ty? Spójrz na siebie, niczego ci nie brakuje. Znajdziesz jeszcze swojego, zobaczysz. A dopóki go nie ma, malutka, korzystaj, ile wlezie – rzuca rubasznie.

– No, no – Natalia odpowiada, kiwając głową – nie poznaję koleżanki.

– A co myślisz? Że zawsze miałam piętnaście kilo nadwagi i pępek między cyckami? Jak byłam w twoim wieku, faceci dostawali szału na mój widok. Wystarczyło, że dotknęłam jednego z drugim i już się spuszczaali. I wcale mi to nie przeszkadzało. Też powinnaś korzystać z życia.

– To nie takie proste.

– No, jeśli myślisz tylko o nim... To faktycznie.

Natalia odpowiada spłoszonym spojrzeniem. Napotykać twardy wzrok, pozbywa się wątpliwości. Chodzi o „niego”, o „jej pacjenta”. Musi zmienić temat.

– Jak często się wybudzają?

– Powiem ci coś, kochana. Pracuję na tym oddziale od dziewiętnastu lat. Stąd można wyjść tylko przez tamte drzwi – mówi, pokazując ruchem głowy kostnicę.

– Ale przecież teoretycznie czasem się to zdarza.

– Tutaj nigdy.

Patrz na siebie. Obie wiedzą, o czym myśli druga.

– Wiem, że jest przystojny – stara zaczyna. – Prawdę mówiąc, nigdy przed nim i nigdy po nim nie widziałam piękniejszego mężczyzny. Tak – powtarza z naciśkiem – piękniejszego. Jest śliczny. Teraz już nie tak jak kiedyś, ale kiedy się tu pojawił, poczułam ukłucie zazdrości. Był piękniejszy od każdej dziewczyny. I co z tego? To tylko ciało. Właściwie to zwłoki. Zapomnij o nim. I powiem ci coś. Dobrze, że nie było cię tutaj, kiedy go nam przywieźli.

– Taki był potrzaskany?

– Skąd! – zaperza się stara. – To była naprawdę niezła skóra. Wy teraz mówicie „ciacho”. My – mruży, akcentując zanadto pierwsze słowo – mówiłyśmy „skóra”.

– No tak, czasy się zmieniają.

– Ale nie dla niego. On taki będzie już zawsze. Zapomnij o nim. Nie obudzi się. Jak chcesz, zamienimy się i nie będziesz do niego chodziła.

– Nie, niech zostanie – dziewczyna protestuje, starając się ukryć rumieńce.

Wie, że Zosia to zauważa, więc musi być szczerą.

– Posłuchaj – zaczyna – wiem, że będziesz się śmiała, ale jest w nim coś takiego, co mnie interesuje. Lubię do niego przychodzić. Nie wierzę, żeby się obudził, ale lubię go.

– I fajny jest, co?

- No. Kiedyś musiał być atrakcyjny.
- Był.
- Pamiętasz, gdy go przywieźli?
- Jasne. Następnego dnia rozwodziłam się z moim starym. Tak się jakoś złożyło – wyjaśnia, wzruszając ramionami. – Zapamiętałam dobrze. W pierwszej chwili myślałam, że jest po prostu wysoką kobietą. Miał dłuższe włosy, był świeżo ogolony i na łóżku widziałam tylko twarz. Kiedy okazało się, że nie ma biustu, a za to ptaka między nogami, poczułam się dziwnie.
- Jak?
- Byłam zawstydzona, przed sobą.
- Czemu?
- Patrząc, widziałam kobietę. I ona bardzo mi się spodobała. Rozumiesz?
- Erotycznie?
- Właśnie. Poczulałam się jak lesbijka. A przecież nigdy mnie kobiety pod tym kątem nie interesowały. Dopiero po chwili, kiedy okazało się, że jest jednak mężczyzną, odetchnęłam.
- Skąd się wziął tutaj?
- Nie wiem dokładnie. Był dawno po operacji. Po składali, co się dało. Poczekali, aż wydobrzeje, i tyle. Do umieralni.
- A wiesz, co mu się stało?
- To ty nic nie wiesz, malutka?
- A skąd miałabym wiedzieć?

– No tak, jasne. Nie możesz – reflektuje się stara. –
To samobójca.

– Co?

– To, co słyszysz, kochana. Wskoczył z balkonu.

– Takie ciacho! To znaczy, skóra taka – poprawia się z uśmiechem.

– No...

– Dziwne, nikt go nie odwiedza – draży temat.

– Ale nie zawsze tak było.

– Nic dziwnego! Faceci są jak kible. Albo zajęci, albo zaszrani. A taki jak ten na pewno był zajęty, więc jakieś musiały go odwiedzać. Kto do niego przychodził?

– Psy – stara mówi przez zęby.

– Policja, znaczy?

– Tak.

– O kurczę! Tego się nie spodziewałam. To mamy niezłą historię.

– Przychodzili krótko. Myśleli, że się wybudzi.

– A rodzina?

– Nie wiem, różni, pewnie przyjaciele, koledzy. Przeważnie raz, a potem drugi i koniec. Nie każdy potrafi to znieść. Wiesz, jak to wygląda. Najdłużej przychodził jeden, łysawy, zawsze zarośnięty, też pies. Raz nakryłam go, jak płakał przy nim. Dziwne, co?

– Faktycznie – Natalia przyznaje zdziwiona.

– Ludzie znają człowieka takim, jakim był przed śpiączką. A potem chcą odwiedzić tego samego czło-

wieka. Przychodzą tutaj, do umieralni, i czeka ich zaje-
biste rozczarowanie. A z nim ból, cierpienie i masa
nieszczęścia. Ludzie tego nie chcą.

– Boją się.

– I wstydzą – stara uzupełnia natychmiast. – I na-
wet jeśli ktoś, z tych tutaj – wskazuje głową pacjentów
– był kiedyś przyjacielem, mężem, kochankiem, narze-
czonym czy kumplem, przestają przychodzić. Zostają
tylko matki. Ale jeśli ich już nie ma, po kilku miesią-
cach wszyscy śnią ten swój śmiertelny sen tylko z na-
mi, malutka.

4.

Następnego dnia, pogrążona w myślach, otwiera
drzwi do „jego” sali. Oczywiście nic się nie zmienia.
Leży na wznak, jak zwykle z rurką wetkniętą w nos.
Oddycha równo.

Postanawia przewietrzyć pomieszczenie. Podchodzi
do okna i otwiera. Wie już, że dziś ma jeden z tych dni,
kiedy nie umie opędzić się od chandry. Widzi swoje
odbicie w szybie. Czuje się gruba i brzydka.

– Możesz powiedzieć, co ze mną jest nie tak?

Oczywiście zdaje sobie sprawę, że pogrążeni w
śpiączce nie odpowiadają, więc nie czeka na odpo-
wiedź.

– No i jeszcze to! – rzuca niemal natychmiast ze
zdwojoną złością.

Stare, wypaczone ramy okien nie chcą puścić.

– Wszystko pod prąd. Nieustające pasmo sukcesów – głośno kpi z siebie. – Jak długo można tak żyć?

Wreszcie okno z hałasem puszcza i do sali napływa świeże powietrze. Na chwilę przystaje oparta o parapet. Patrzy na ludzi przed szpitalem.

Odwróciwszy się, spogląda w kierunku nieruchomego mężczyzny. Odpowiada jej równy, niczym niezmacony oddech. Bierze do rąk kartę informacyjną.

– U ciebie sprawa jest jasna – mówi. – Leżysz tutaj już rok. Twór siatkowaty w pniu twojego mózgu został uszkodzony, cokolwiek to znaczy. Żyłeś jeszcze dwa, może trzy tygodnie, po tym jak wyskoczyłeś z tego cholernego balkonu. Teraz twój stan jest tylko wegetatywny.

Przerywa na chwilę. Odpowiada jej rytm jego oddechu. Raz, dwa, raz, dwa. Wdech, wydech. Wdech szybszy, wydech dłuższy. Pomiedzy nimi krótka pauza na ciszę. Bez zmian. Bez szans na cokolwiek.

– Chociaż, wiesz, chyba nie do końca – mówi. – Twoje życie zależy od kogoś innego. A twój sen to takie zawieszenie pomiędzy życiem a śmiercią. Dobra, okej – zdaje się rozmawiać z mężczyzną, jakby ją slyszal i mógł odpowiedzieć – wystarczy.

Czuje, że gdy mówi, jest jej lżej. Ta specyficzna rozmowa pomaga. On jej pomaga. Zalegające w jej wnętrzu rozgoryczenie ustępuje.

– Dość. Powiedz, dlaczego to zrobiłeś – stojąc dokładnie naprzeciw łóżka, w nogach chorego, wciąż patrzy w kartę informacyjną.

Wcześniej zrobiła to tylko raz. Na początku. Kiedy zaczęła tutaj pracować. Czyta uważnie. Imię i nazwisko pacjenta: Maksymilian Szulc. Lat: trzydzieści.

– Nigdy nie pomyślałabym, że jesteś już taki stary – komentuje. – Wyglądasz najwyżej na dwadzieścia pięć. Reakcja ruchowa w skali Glasgow – czyta – jeden punkt. Kontakt słowny – jeden punkt. Jedyńka – brak reakcji.

– Co spowodowało, że taki przystojniak wyszedł na balkon i skoczył? Byłeś zakochany? Zostawiła cię dziewczyna? Miałeś długi? Wiesz, w pewnym sensie jesteśmy do siebie podobni. Ale nigdy bym tego nie zrobiła. – Odkładając kartę, znów widzi wystającą spod kołdry stopę. – Dlatego masz jaja – dodaje.

Odpowiada jej cisza. Wdech, wydech. Wdech, wydech.

– Jak do ciebie mówili?

W odpowiedzi znów słyszy wyłącznie oddech. Raz, dwa. Wdech, wydech.

– Maks? Maksymilian? – szepcze.

Cisza. Nigdy wcześniej nie mówiła do niego po imieniu. Zatrzymuje wzrok na stopie, wciąż przypominającej o niewymiarowym penisie.

Może jest mu w tę stopę zimno? – przychodzi jej na myśl. Okrąża łóżko, by znaleźć się z boku i przeciągnąć pościel. Zaskakujące, ale kilka zdań wypowiedzianych w kierunku mężczyzny w śpiączce pomaga. Czuje się dużo lepiej.

– Wiesz, gdybyś był moim facetem, nazywałabym cię po swojemu. Pieszczotliwie. W sumie – waha się chwilę – czemu nie? Będę tak do ciebie mówiła – postanawia z uśmiechem. Pochyliła się nad łóżkiem. – Maksik – szepce do ucha.

W chwili gdy usta wypowiadają to imię, kątem oka dostrzega, jak pacjent zaciska dłoń w pięści. Cofa się natychmiast. Prawdę mówiąc, odskakuje błada od łóżka. Zdziwił ją, zaskoczył, przeraził. Przecież chorzy często mrugają, czasem nawet mruczą lub się uśmiechają, więc nic dziwnego, że poruszył dłońmi – myśli. – Ale... On nigdy tego nie zrobił. Tym bardziej reagując na dźwięk własnego imienia.

Dziewczyna nie ma wątpliwości, że ruch był świadomy. Mówi jej to intuicja. Tyle że rozsądek podpowiada: to niemożliwe.

5.

Tak mam na imię – Maks. Maksik – mówili niektórzy. Maksymilian, tak nie lubilem – myśli – nim stałem się ścierwem, które słyszy i czuje w bezsilnym oczekiwaniu na wybawienie. To nawet nie czyściec. Najwyżej przedsionek piekła. Jak gdyby wcisnięto mnie w rurę i zalano betonem. Trwam w ciemnościach, w zawieszaniu, w bezruchu. Niczym potępieniec w najciemniejszym z ciemnych, cichych miejsc własnego umysłu. Ze świadomością obok świata, gdzie do niedawna wiodłem życie, i z ciałem po drugiej stronie. Przed zatrza-

świętymi drzwiami, za którymi czeka mnie nie wiadomo co. Może to samo co teraz, tyle że bez snów? – jego myśli, jak nietoperze nocą, w ciszy mkną w udręczonym chorobą umyśle.

Nie zdawałem sobie sprawy, że pogrążeni w śpiączce zachowują świadomość. Kogo to obchodzi? – zdaje się pytać i odpowiada sam sobie: – w tej chwili tylko mnie. Nawet ona ma to gdzieś – kieruje świadomość w stronę pielęgniarki.

– Jak do ciebie mówili? – słyszy nagle jej głos.

Pamiętam, że Maks, Maksymilian – chciałby powiedzieć. Ale nie może. Nie słyszysz mnie i nic cię to nie obchodzi. A ja nie wiem nic więcej. Kim byłem? Czym się zajmowałem? Nic, pustka, jak biała kartka – refleksja odbija się od jej słów.

Kartka. No właśnie. Jest, lecz nie wiem dlaczego – myśli. Jak ocean aż po widnokrąg nieskalany żaglem wspomnienia. Pustynia w ceglany kolorze, niezabarwiona słońcem. Wirujące płatki śniegu, gdy leżę bez bólu wpatrzony w niebo i z wolna zapada ciemność. Świeży powiew chłodnego powietrza. Szczegóły mej kalekiej pamięci są jak piasek przesypywany między palcami.

– Maks, Maksymilian – znów słyszy.

Tak jak powiedziałaś przed chwilą – zdaje się krzyć. Ale wciąż otacza go tylko cisza. Nie pamiętam, nic nie pamiętam! – świadomość istnienia to niepojęte dla niego cierpienie.

Moje wspomnienia są jak ptasie gniazdo pełne splątanych źdźbeł. Staram się pójść za jednym z nich i pociągam wolno, uważnie, by go nie zerwać. Po chwili przekonuję się, że nagle ono się kończy. Wyciągnąłem właśnie początek. Nie umiem odnaleźć końca. Znów biała kartka i pojedyncze czcionki układające się w słowa.

Gdybym tylko wiedział, zapadłym w to cholerne oczekiwanie na śmierć z workiem pełnym wspomnień. Mógłbym wracać do życia teraz, kiedy nikt nie potrafi zdecydować, czy mam żyć, czy umrzeć. Choć może i dobrze, że nie pamiętam prawie niczego? – zastanawia się chwilę.

Nie mogłem za życia być bardziej samotny niż teraz – niemal natychmiast przychodzi refleksja. Bardziej pojedynczy niż tutaj, z nadzieją na koniec, która każdego dnia rodzi się znowu. Śpiączka jest najwyższej zorganizowaną torturą samotności.

Och, co za skurwysynstwo! – klnie na swój los. Nikt nie słyszy głosu wytłumionego przez sparaliżowane ciało. Zaciskam pięści, wbijając paznokcie w skórę, z nadzieją na ból, ale on nie nadchodzi. Nie umiem żyć z takim brzemieniem. Nie potrafię też umrzeć. Nie istnieję. Tylko śnię wciąż niekończący się, okrutny sen.

– Maks, Maksymilian – jej słowa znów docierają do niego jak echo. Jest w nich coś okrutnego.

6.

O tym, co ją spotkało u niego, natychmiast opowiada Zosi ze szczegółami. Pomija pewne, mniej istotne szczegóły. Jak to, na przykład, co czuła.

– Rozumiem – Zosia odpowiada z namysłem.

– Wiedziałam, że nie uwierzysz.

– Ależ ja ci wierzę, maleńka. Tylko że jestem trochę starsza i mam inne pojęcie o tym, co tutaj się dzieje, i...

– ...i o miłości?

– O życiu.

– I co z tego?

– To – Zosia mówi spokojnie – że nie znasz tej historii. Patrzysz przez pryzmat jego wyglądu. Masz nadzieję, że się obudzi, bo jest atrakcyjny, i chwytasz się, jak tonący brzytwy, każdego sygnału, że tak może się stać. Tymczasem wokół ciebie wszędzie roi się od prawdziwych facetów, którzy wiele by dali, by schrupać cię jak pętko kielbasy. Zamiast korzystać z życia, uciekasz w świat marzeń, oddalając się od rzeczywistości.

Patrzą na siebie chwilę w milczeniu i wiedzą, że to prawda. Ale Natalia nie umie być inna. Musi płynąć pod prąd, by dotrzeć do źródła.

– Wiem.

– Prawdopodobieństwo, że on się kiedykolwiek obudzi, wynosi jak jeden do stu tysięcy. Już lepiej zagraj w totka – radzi Natalce. – Jak trafisz, przynajmniej

będziesz bogata. A on, gdyby nawet się obudził, po pierwsze, będzie dalej kaleką, po drugie, jaką możesz mieć pewność, że będzie chciał się z tobą przyjaźnić? Nie mówiąc już o czymś więcej.

– Ale to było takie realne, takie prawdziwe. Wypowiedziałam głośno jego imię i natychmiast zacisnął pięści, jak gdyby go to rozwścieczyło.

– Widziałam już wiele lez. – Zosia patrzy na dziewczynę z pobłażaniem. – Niejedna matka tutaj płakała, i to ze szczęścia, choć nad synem w śpiączce. Wcześniej skakali do wody i łamali kręgosłup albo roztrzaskiwali się na motocyklach, zaraz po osiemnastych urodzinach. Potem ich matki przez lata tutaj przychodziły i pewnego dnia nagle płakały, bo chore dziecko uśmiechało się przez sen albo otwierało oczy na chwilę. Ale to niczego nie zmieniało. Rozumiesz? Nadal spali, a one wędły. Twój mężczyzna się nie obudzi. Zapomnij o nim. Szukaj szczęścia w realnym świecie. Im wcześniej zrozumiesz, że to już nie człowiek, tym lepiej dla ciebie.

– Co masz na myśli?

– Dziwisz się? Pracuję tutaj od dziewiętnastu lat. Gdybym nie widziała tego, co tutaj się dzieje, może sądziłabym inaczej – ciągnie. – Kiedyś myślałam jak ty, ale po latach między nimi zrozumiałam, że nieutrzymywanie ich byłoby lepsze.

– Co ty wygadujesz?!

– Nie gorączkuj się.

– Powinni być odłączani?

– Kiedyś zrozumiesz.

– Nie rozumiem! – dziewczyna protestuje, splatając ręce na piersiach. – Wierzę w Boga. Jestem katoliczką i nie zgodziłabym się zabić człowieka.

– Przestań pieprzyć! Też chodzę do kościoła, jak pół Polski. Wierzę, że coś po śmierci nas czeka. Ale czy to jest Bóg, nie wiem. Wiem jedno. Pogadamy za pięć lat. Kiedy zrozumiesz, jakim ciężarem dla rodziny jest taki człowiek.

– Ciężarem?

– A czemu przestają ich odwiedzać?

– Nie mogą znieść ich cierpienia.

– Gówno prawda, ale blisko, maleńka. Nie mogą znieść własnego cierpienia, nie ich. Swojego. Ludzie nie chcą słyszeć, że komuś jest źle, że cierpi. Nie mogą na dłuższą metę na to patrzeć, bo to nieprzyjemne. Bo to boli. Nie potrafią w tej strasznej chorobie znieść widoku człowieka, którego kiedyś kochali. Bo z niego zostaje tylko ciało, resztką ciała, nic więcej. Więc przestają przychodzić. Dlatego powinniśmy pozwolić chorym umrzeć, a tym, którzy pozostali – otrząsnąć się z bólu i żyć.

– A gdyby zareagował raz jeszcze? – Natalia po chwili milczenia ryzykuje opór. Nie zgadza się z rozumowaniem koleżanki. W słowach dziewczyny są tylko emocje.

– To się nie zdarzy. – W pełnych pragmatyzmu i doświadczenia słowach Zosi jest także litość.

– Nie wierzę.

– Nie radzę sprawdzać.

– Dlaczego?

– Bo mogłoby to oznaczać, że ma kontakt z nami. I jakaś jego część nie umarła. Chciałabyś być tego świadoma? – pyta, ale zamiast słów słyszą tylko miarowe tykanie zegara w dyżurce.

Tik-tak, tik-tak... Natalia wie, że Zosia ma rację. Jeśli tamten mężczyzna zachował świadomość, to jest w okrutnym więzieniu własnego ciała.

– Wciąż nie mogę pojąć – zmienia temat – jak można skoczyć z balkonu.

– Skok był raczej przypadkowy.

– Nie rozumiem.

– To samobójstwo impulsywne. Było o tym głośno.

– Głośno?

– W telewizji, w gazetach.

– Czemu?

– Pamiętam tę sprawę. Rozwodziłam się ze starym. Mówiłam, samobójstwo impulsywne. Podobno dostał list, wyszedł na balkon i skoczył. Na dole stał samochód. Wiesz, taki ze skrzynią ładunkową. Dlatego nie zabił się na miejscu.

– Rzuciła go dziewczyna? – Natalia czuje, że koleżanka coś ukrywa. Ta zaś spogląda na nią smutno.

– Raczej nie – odpowiada po chwili.

– Skąd wiesz?

– Bo pochował ją tydzień wcześniej, żonę właściwie.

– Wiadomo, co było w liście?

– I to jest najciekawsze w tej historii.

7.

Staram się wszystko zamknąć najbardziej ścisłą ramą czasu, jak gdyby miało to jakiegokolwiek znaczenie: od do, od kiedy, do której. Dziesiątki możliwości, by precyzyjnie dookreślić. Fantastyczne zamięrowanie do zbędnych przysłówków.

Leżąc w kojcu własnego ciała, poddaję się tej presji. Nanizuję wspomnienia na sznurek przeżyć, przypominając sobie kawałek po kawałku fragmenty mojej historii. Zbliżam się nieuchronnie do chwili, kiedy nastąpi jej kres, co zdaje się nader atrakcyjną wizją. Gdy skończę, nic nie będzie już takie samo jak teraz.

Muszę zranić się wspomnieniami – myśli – by wiedzieć, dlaczego jestem mordercą. Raz jeszcze wbić sztylet w swe serce, by sprawdzić, czy nadal jestem człowiekiem. Kim byłem, kim jestem i za co zabiłem sam siebie. Uciec od tego nie mogę. Nie wolno mi, choć tak byłoby prościej. Wszak nikt nie chce słyszeć niewygodnej prawdy o sobie. Tymczasem muszę ją odkryć. Więc gram uverturę zapomnienia w pożądanym przeświadczeniu, że oto jutra mogłoby nie być.

Zabawmy się tym, co zostało. Może pamięć powróci, a przedstawienie naprawdę się zacznie? Obnażę się jak zboczeniec w parku przed uroczo wystraszoną szesnastolatką. Tylko jak mam to zrobić? Jak sobie przypomnieć, gdy w pałacu pamięci wciąż pełno za-

mkniętych komnat, których nie sposób otworzyć? A kiedy walę w drzwi, nagle otwierają się inne i wchodzę, gdzie wcale nie chciałem, kiedy słyszę te jej:

– Maks, Maksymilian.

Jest w jej słowach coś okrutnego. Kiedy je wypowiada, jakieś wspomnienie dopada mnie, obejmując bólem.

– Maks, Maksymilian – słyszę, lecz poza oderwanymi od reszty słowami nic nie pamiętam.

Dlaczego dźwięk własnego imienia tak boli? I ta nieznośna świadomość, że dalej czai się hipnotyczna wizja, która nieubłaganie nadchodzi. Czuję, że przyjdzie i ziści się nagle w najmniej nieoczekiwanym momencie podróży w głąb siebie. Z naciśnięciem kolejnej klamki następne drzwi skrzypną lekko, odsłaniając retrospekcję starego świata.

Wypluwam z siebie to, co było niemym krzykiem. Wywalam widłami gnój z obory mojej historii i wiem, że dziewięćdziesiąt dni ma jakieś znaczenie. Rama, w której pojawi się obraz. Czuję w tym, ledwie wyczuwalny, amforyczny cień jakiejś miłości. Innej możliwości nie odnajduję, poza delikatnym ukluciem, że mogę się mylić. We śnie nic przecież nie może być pewne.

8.

Wpuszczę ci więcej świeżego powietrza – mów, otwierając okno.

Tym razem jednak rama nie sprawia problemów. Do jego nozdrzy dociera wilgotny zapach kory, opadłych liści i żywiczna woń iglastych drzew.

Patrzy na mężczyznę. Zastanawia się, czy znów wypowiedzieć na głos jego imię, by sprawdzić reakcję. Postanawia zaczekać. Może Zosia ma rację? – myśli.

– Rozmawiałam – zaczyna, przygotowując przybory do golenia – z Zosią na twój temat. Uważa, że nigdy się już nie obudzisz. Nie wiem, co o tym myśleć.

Zarósł już gęstą i równą szczecina. Dawno zauważyła, że jego twarz najpierw pokrywa delikatny, niemal niewidoczny włos i stając się dłuższy, stopniowo przypomina barwę smoly. Wtedy przybiera męski, niemal prymitywny w swoim pięknie wyraz. Z czasem, gdyby nie golić go przez kilka dni, pojedyncze włosy nagle i nieoczekiwanie zaczęłyby wpadać w zupełnie jasną, prawie siwą barwę.

Z czarnym, kilkudniowym zarostem lubi go najbardziej. Ogolony wygląda na młodszego. Ale też bez kuszącego, brutalnego cienia męskiej urody staje się pięknym, kuszącym chłopcem. Wystające kości policzkowe i zapadnięte policzki budzą w niej instynktowny lęk, a jednocześnie magnetyzm – myśląc o tym, zbliża ostrze maszynki do miejsca tuż przed uchem, gdzie zarost łączy się z włosami na głowie.

– Ciekawe, od którego miejsca zaczynałeś się golić – mruczy. Płucząc maszynkę, dodaje: – Zosia uważa, że takich jak ty powinniśmy odłączać od aparatury.

Kolejne spojrzenie wywołuje szok. Znów odskakuje od łóżka, jak gdyby pościel przemieniła się w kulę ognia. Widzi wyraźnie, jak kąciki ust się uniosły. Maks się uśmiecha. Przerażona, niemal w afekcie, zapominając o słowach koleżanki, rzuca natychmiast:

– Maks! Maksymilian, słyszysz mnie?

Jej oko rejestruje, jak mężczyzna zaciska pięści.

– Maks! Jeśli mnie słyszysz – szepce – otwórz oczy.

Raz, dwa, wdech, wydech, raz, dwa, wdech szybszy, wydech dłuższy. Pomiedzy nimi krótka pauza na ciszę. Nic. Chwila, niczym promyk słońca, zgasła bez śladu. Znikł jego uśmiech. Rozluźnia dłonie. Pozostaje ciche unoszenie się i opadanie klatki piersiowej w rytm pracy płuc: raz, dwa, wdech, wydech.

– Maks! – powtarza.

Po chwili napięcia rozumie, co się wydarzyło. Zafundował jej garść nadziei, o jakiej Zosia opowiadała wczoraj w dyżurce. W nagłym odruchu pragnie dotknąć udreżonej twarzy. Przesuwa dłonią w powietrzu ku niemu i w tej samej chwili dostrzega czerwoną kropkę roztrzaskującą się na górnej wardze mężczyzny.

– Cholera jasna – klnie, cofając rękę.

W pierwszym odruchu wkłada palec do ust i czuje słodkawy smak krwi.

– Widzisz, przystojniaku, co przez ciebie sobie zrobiłam – mruczy, oglądając na opuszkach palca dwie cienkie kreseczki, z których wypływa ciemnoczerwona

krew. – Przez te twoje wyglupy się skaleczyłam – narzeka.

Odwraca wzrok i nieruchomieje. Leniwie po policzku pacjenta toczy się wielka łza. Patrzy jak zahipnotyzowana. Kilka sekund po pierwszej tym samym torem po ogolonym policzku płynie druga, łącząc się na włoskach zarostu z pierwszą.

Więc to, co jej zafundował, nie było fizjologicznym wybrykiem? – myśli. Zapomniawszy o palcu, patrzy na Maksa. Dziewczyna nie ma wątpliwości. On czuje.

9.

Nie pamiętam jej twarzy, lecz przed zaszytymi śpiączką oczyma mam symbol: B Rh+ i mdły, słodkawy smak krwi zanieczyszczonej uczuciem w ustach.

Zbyt silna, żeby okazać słabość – slysze. Zbyt słaba, by wytrwać w sile – kolejne reminiscencje dopadają i szarpią jak wilki.

O, muzy moje kochane! O, moja Mneme! Pomóż, wszak płonę namiętnością powracających chwil. A chcę tylko wspomnień. Ich sok spływa po brodzie, lepki i słodki jak dojrzała w słońcu brzoskwinia. Jak ta krew na ustach – jest ogniem mych lędźwi, żagwią mojej miłości. Zanim skosztuję rajskiego owocu, chcę wiedzieć, pamiętać.

Erytrocyty i leukocyty zawieszony w osoczu to dla mnie drzwi do tego, co było. Jesienne słońce, ciepły

wrześniowy dzień, plac Wolności w Opolu. O tak! Przecież to tam wszystko się działo, pamiętam.

Wróciłem do niemowlęctwa i znów widzę dźwięki. Wiem dziś, jako warzywo, co to synestezja. Mógłbym narysować jej głos. Charakterystyczny, nie pomylę go z innym. Jej ton, gdy miała świetny humor, kiedy się martwiła czy też złościła, jest moją częścią gdzieś pod mostkiem.

– Oddawałeś kiedyś krew? – pyta.

– Nie.

– Oddamy? – rzuca z uśmiechem przetkanym wahaniem. – Zawsze chciałam to zrobić. Nie miałam tylko jakoś okazji – dodaje.

– Więc chodźmy.

– Taaak? – Samogłoska w jej ustach ma smak pytańnika i zapach gorzkich migdałów jak u Márqueza.

– Zaskakujące, że jest taka gruba – mówi, patrząc na igłę.

Jej policzki przybierają odcień świeżego śniegu.

Nie wiem, kim była. Ust, rzęs ani zapachu też nie potrafię przywołać. Zamiast tego coraz bardziej drażni mnie nieznośna świadomość, że ów zwiewny strzępek z zeszłego życia powoduje ból w piersi. Przecież niżej z połamanymi kręgami nie mogę niczego czuć.

Snując tę frenetyczną pajęczynę, pojmuję, że gdyby nie ona, nie byłoby mej zbrodni. Nie byłoby mnie teraz. Każdy Frank La Salle widocznie musi mieć swoją Annabel Leigh, Ariza własną Feminę. Ja także.

Powiniennem ją nazwać. Po pierwsze będzie to oczywiście z gruntu fałszywe imię, bo nie pamiętam go. Po drugie, wiem, że nie powiniennem wyjawić jej prawdziwego. Choć wkrótce je zmyślnie przemycę. Skąd jednak to wiem? Czyżbym był w zeszłym życiu alfonsiem albo pisarzem? Zresztą co za różnica!

Wiadomo, że imię trzeba utajnić. Inicjały wszystko mogłyby rozwiązać – ciśnie mi się do głowy – lecz to pomysł gminny, żenująco prosty. Jako obowiązujący odrzucam go z obrzydzeniem. Taki wybór nie grzeszy fantazją, polotem i smakiem. Przyznaję jednak, że jest w nim coś kuszącego, szczególnie że pamięć kulawa przywodzi na myśl dwie identyczne litery.

Spróbuję i tę wizję, chytrze, acz mściwie, z jaźni wydobyć. Więc uroczyście zanurzam się w siebie, jak aramejska cudzołożnica z ewangelii, trzykrotnie w maju: 25, 27, 29. Lecz teraz na co dzień, bez miłości. Tak, jak nie lubiłaś. Tak, jak nigdy do ciebie nie powiedziałem.

– Maks! – przecinek znów dopada mnie z zewnątrz. To koma jest czy amok?

Niech będzie Weronika.

10.

Wchodząc do niego, Natalia ma często wrażenie, że to najbardziej przytulna sala na oddziale. Teraz, idąc krok w krok za ordynatorem, nie myśli o niczym jak tylko o obawach. Nagle dopadły ją wątpliwości.

– Panie doktorze...

– Tak?

– Ja wiem, że zajmuję pana czas i może się myłę, ale tak było naprawdę – zaczyna.

Ordynator jest wysokim, barczystym mężczyzną z siwizną na skroniach. Zwalnia kroku. Zatrzymuje się przed drzwiami i spogląda na pielęgniarkę. Potem przenosi wzrok na uśmiechającą się ze smutnym zrozumieniem Zosię.

– Pani Natalio – mówi – zauważyła pani w zachowaniu pacjenta objawy sugerujące, że koma się cofa?

– Jestem przekonana, że tak.

– Rozumiem. A teraz boi się pani, że ich nie zauważę?

– Właśnie.

– Proszę się nie obawiać. Zrobiła pani, co należało. A co się dzieje, zobaczymy. Ocenimy. Może pani ma rację, a może się pani myli. Medycyna to nie wróżenie z fusów. Sprawdźmy.

Maks słyszy głęboki głos. Odkąd usnął, najważniejszymi jego zmysłami są słuch i węch. Wyobraża sobie tego mężczyznę jako dużo starszego, niż jest w rzeczywistości.

– Osobiście uważam, że nie ma powodów, aby pani nas okłamała. Jednak sędzę, że się pani myli. Ten pacjent, uwzględniając jego stan, nie może się wybudzić. Oczywiście medycyna zna różne przypadki. Jednak jest mało prawdopodobne, aby pozostała w nim jakakol-

wiek świadomość. A nawet jeśli tak jest, to ograniczona i w oderwaniu od ciała.

Drzwi skrzypią cicho. Maksymilian słyszy suchy trzask włącznika światła. Metaliczny dźwięk zamka odcina go od odgłosów korytarza. Natalia, lekarz i Zosia są w jego sali.

– Pani Natalio, na początek zastosujemy najprostszą metodę diagnostyczną. Słyszała pani o skali Glasgow?

– Owszem, słyszałam.

– Świetnie! A co konkretnie?

– Używa się jej w celu oceny przytomności.

– Doskonale, choć częściej w sytuacji, kiedy możliwy jest kontakt z pacjentem. Coś więcej?

– Ocenie podlega otwieranie oczu, kontakt werbalny oraz reakcja ruchowa.

– W pięciostopniowej skali, czy tak?

– Tak, panie doktorze.

– Zatem oceńmy. Jeśli pacjent otrzyma łącznie mniej niż trzy punkty, oznacza to śmierć kliniczną. Jeśli powyżej trzynastu, ocenia się, że pacjent ma łagodne zaburzenia przytomności.

– Tak.

Maks, słysząc te słowa, czuje złość. Ten skurwiel, lekarz – myśli – nie wierzy, że w jego ciele istnieje człowiek. Czuje to wyraźnie. Słyszy to w pełnym ironii odcieniu głosu ordynatora, jaki nadal zdaniu „oznacza to śmierć kliniczną”.

Przepelnia go też żal do dziewczyny, że uwierzyła w uśpione w nim, gdzieś bardzo głęboko, szczątki czło-

wieka. Nie powinnaś – myśli – ja na to nie zasługuję. Nie czuje wdzięczności. To raczej rodzaj osobliwego współczucia.

Jestem przecież tylko kawalkiem ścierwa niepotrzebnie utrzymywanego przy życiu, który ma to, na co zasłużył – nieznośna świadomość ciągle dręczy mężczyznę. Tylko resztką tego, kim byłem – myśli z goryczą – mordercą w śpiączce. Wie, że komuś odebrał życie, i fakt ten w chorobie jest tym gorszy, że nie pamięta, kogo zabił. Ale jest tego pewien. Dawno też pogodził się ze swoim stanem.

– Panie Maksymilianie, czy pan słyszy to, co do pana mówię? – ordynator rozpoczyna badanie.

Jasne, że cię słyszę – przemyka Maksowi przez myśl. – Nie wiem, czy wiesz, skurwielu, ale zabiłem kogoś, kogo kochałem. Pozwól mi umrzeć.

– Panie Maksymilianie! – ordynator powtarza.

Natalia widzi wymowne spojrzenie.

– Na samym wstępie pani pacjent otrzymuje punkt w zakresie kontaktu słownego. Przejdźmy do otwierania oczu.

Lekarz podnosi powiekę Maksa i przyświeca niewielką latarką. Tym razem na twarzy pojawia się nieznaczny grymas. Jak na gust obu pielęgniarek, nieco zbyt długo bada chorego.

– Interesujące – mruży. – Źrenica reaguje na bodziec świetlny. Reaguje również na bodziec bólowy – dodaje, naciskając gałkę oczną.

– Co to znaczy, panie doktorze? – Natalia natychmiast rzuca pytanie.

– Na razie nic. Zaraz się okaże.

– Rozumiem. Nie przeszkadzam.

– Panie Maksymilianie – mówi – uważamy, że jest pan w stanie śmierci mózgowej lub też odmóżdżenia. Ewentualnie możliwe jest odkorowanie. Istnieje jednak prawdopodobieństwo, że wybudza się pan z tego stanu. Przeprowadzę teraz szereg typowych testów, aby sprawdzić, w jakim jest pan stanie.

„Pieprz się” – tak bym ci odpowiedział, gdybym tylko mógł – myśli Maksa zamieniają się w bezgłośnie odpowiedzi. Niczego nie udowodnisz – odpowiada lekarzowi w ciemnościach swojego umysłu, po czym czuje nagle, że coś dzieje się z jego ręką. Na skutek jakiejś siły ma wrażenie, że jego przedramię nagle się prostuje.

– Interesujące – ordynator rzuca raz jeszcze. – Występuje patologiczna reakcja wyprostna w stawie łokciowym.

Dziewczyna obrzuca Zosię spojrzeniem pełnym nadziei. Ta spokojnym ruchem nakazuje milczenie, przykładając palec do ust.

– Ciekawe – lekarz mruczy dalej. – Proszę z powrotem zgiąć ramię – poleca.

Wal się. Co chcesz osiągnąć? Przecież dla ciebie jestem tylko warzywem – myśli.

– Nie reaguje.

Pewnie, że nie reaguje, doktorku – Maks toczy myślami dialog z lekarzem. – Daj mi spokój.

– Co to znaczy, panie doktorze? – Natalia nie wytrzymuje.

– Chwileczkę.

Lekarz zbliża się do stóp Makska. Dziewczyna szerzej otwiera oczy ze zdziwienia. Tymczasem lekarz przygląda się stopom pacjenta. Zaczyna łaskotać podszewę. Palce u stóp się poruszają. Nagle silnie uderza stopę, po czym kończy badanie, prostując się w krzyżu.

– Widzi pani, według badania pani pacjent uzyskał w skali Glasgow co najwyżej trzy punkty. Podkreślam: co najwyżej.

– To oznacza śmierć mózgową?

– Właśnie. Ale pofatygowałem się i sprawdziłem też objaw Babińskiego, a także odruch Rossolimo. Proszę zrozumieć – mówi tonem, w którym jest tylko zrezygnowanie – czasem pacjenci przejawiają odruchy, które interpretujemy jako wybudzanie się, ale to złudna nadzieja. Chciałbym, aby było inaczej, ale tak nie jest.

Dziewczynie nieoczekiwanie do oczu napływają łzy. Zosia miała jednak rację – myśli. Ale się bardzo myli, tak samo jak jej koleżanka i lekarz.

Zaskakujące, lecz nadzwyczaj ostro pamiętam owo dalekie popołudnie, kiedy późnym latem ta zbrodnia wzięła początek. A wspomnienie naznaczone jest jasną twarzą mojego przyjaciela, gdy mówi:

– Cześć, młody, co jest?

– Niezłe powitanie.

Daniela znalazłem z czasów, kiedy jeszcze mieszkaliśmy razem w akademiku, w jednym pokoju. Jadaliśmy ten sam bochenek chleba posmarowany wspólną margaryną, niczym nożem.

Potem świadczyłem na jego ślubie, kiedy biedak zdecydował się popelnić małżeństwo. Patrząc nań teraz wspomnieniem, kiedy podając rękę, czuję mocny i zdecydowany uścisk, natychmiast zresztą odwzajemniony.

– Nie ma to jak czułości na początek – syczy z charakterystyczną ironią, sarkazmem i cieniem celowej złośliwości, która stanowiła tylko woalkę dla ciepła naszej przyjaźni.

– Nie ma to jak ostra riposta – odpowiadam.

– Coś ci się nie podoba, młody?

– Czekalem na ciebie.

– I dobrze – rzuca natychmiast. – Bo wino mam dobre. Warto na nie czekać.

– Musimy pogadać – zaczynam.

Męskie przyjaźnie są tak dziwnym zjawiskiem, że nie sposób porównać ich do czegokolwiek. Pewien pilot zestrzelony przez bandytów znad Renu miał ra-

cję, pisząc, że przyjaciele są jak ciche anioły, które podnoszą nas, gdy nasze skrzydła zapomniały, jak latać.

Wiele dni przed fatalną godziną, kiedy miałem zostać mordercą, to Daniel pchnął mnie w objęcia losu i nic nie było już takie jak dawniej. Lecz nim to się stało, dzięki niemu wleciałem. Uczynił to za pomocą zaledwie kilku prostych zdań, na zawsze zmieniając mi życie.

– Co jest?

– Otwieraj wino – odparłem.

Chwilę później korek z cichym puknięciem uwolnił krwistoczerwony płyn i wraz z cierpkim smakiem pierwszych kropeł tamtego wina na językach wypowiedziałem dziewicze słowa mojego końca:

– Pamiętasz Anię?

– Tę ze szkoły?

– Tak – odparłem – ze szkoły.

– Chodziliście do klasy. Dobrze pamiętam?

– I mieszkaliśmy razem w internacie – dodałem. – Przez pięć lat. Aż w końcu zakochaliśmy się w sobie. Oblędnie i niezdarnie beznadziejną miłością, która zakończyła się równie nagle, jak szybko wybuchła. Po maturze byliśmy już przecież obcy mi sobie, na pozór, ludźmi.

– Na pozór?

– Bo przez prawie następne czterdzieści miesięcy nie potrafiłem dać szansy innej miłości. Brakowało

miejsca w moim sercu dla kogokolwiek innego, gdyż cały niewielki metraż to ona zajęła.

– Pamiętam – uśmiecha się gorzko – wtedy cię przecież poznałem. Rozumiem. Ale to minęło, młody. Masz trzydzieści, a nie dwadzieścia dwa lata.

– Dwadzieścia jeden. Ostatni raz widziałem ją po maturze. Więc chodzi o osiem lat, których jej nie widziałem.

– Osiem lat?

– I trzy miesiące.

– Znalazła cię?

– Tak.

– No dobra. I co mają do tego te wszystkie lata?

Zastanawiam się chwilę. Myśli uciekają gdzieś dalej, w czasy, kiedy wchodziłem w dorosłe życie.

– Zapomniałem o tym, co mnie kiedyś bolało – mówię, szybko powróciwszy z otchłani ckliwej pamięci. – Odzyskałem spokój. Żyję sam. Dobrze zresztą wiesz.

– Wiem.

– Po co wracać do czegoś, co było? – mówię.

– Wracać? Skąd wiesz, że ona tego chce?

– Twierdzi, że chce tylko spotkania.

– Spotkania... – powtarza z ostrożnym wahaniem.

– A ty czujesz, że nie o to chodzi?

Jak to beztrąsko brzmi: spotkania – myślę. Szekspir twierdził, że podróże kończą się spotkaniem kochanków. Tymczasem tak wiele musi się wydarzyć, by dwoje ludzi mogło się spotkać. Tyle musiało się zdarzyć,

abym zaczął podróż, którą śnię teraz. Musiałem przepłynąć przez Styks niemal, aby to wszystko mogło się stać. Aby się mogło bez przypadku przypadkiem wydarzyć.

– Powiedz – pyta – naprawdę to jest kobieta, którą ze wszystkich kochałeś najbardziej?

– Tak – przyznałem z melancholią – najbardziej.

– Była ważna dla ciebie?

– Była.

– Więc spotkaj się z nią – odpowiada prosto. – Skoro była ważna dla ciebie, spotkaj się – powtarza z naciskiem. – W końcu nadal gdzieś tam głęboko w twoim sercu jest jeszcze jej ślad. Mam rację?

– Masz – przyznałem.

– No, więc właśnie – wtrąca. – Nie zamykaj się na nią. Kochałeś ją, więc zasługuje na to, aby się spotkać z tobą po latach. Jeśli łączyło was coś tak niezwykłego i wyjątkowego jak miłość, na pewno warto to zrobić. Tym bardziej teraz, kiedy wszystko jest inne. I nie wiesz, co z tego wyniknie.

Tak, nie wiedziałem. Więc za namową przyjaciela wkrótce poddałem się bez reszty przeznaczeniu niepomny o głos rozsądku, krzyki rzeczywistości i czerwone światło rozumu. Posłuchałem marzenia. Straciłem spokój. Straciłem część siebie i nigdy już jej nie odzyskałem. To był mój wybór. Mój *corpus delicti*. Mój wyrok śmierci.

12.

Po wyjściu lekarza i Zosi zrezygnowana Natalia podeszła do okna. Kiedy poczuła zapach parku, nagle zebrало się jej na płacz.

Wszystko wskazuje, że twoja świadomość nie istnieje, lecz mimo to nie chcę, byś poczuł moją słabość, moje zrezygnowanie.

– Jezu. Przecież to niemożliwe! – mówi po chwili, uświadomiwszy sobie absurdalność sytuacji.

Do oczu nabiegły jej łzy. Aby powstrzymać płacz, spojrziała w niebo. Na niebieskim tle przelatywał ogromny odrzutowiec. Było tak cicho, że usłyszała charakterystyczny, niski dźwięk silników. Poczwała, że nie wytrzyma dłużej. Wybiegła na korytarz, zbiegła po schodach i znalazła się przed tylnym wejściem, tylko dla personelu. Usiadła na ławce.

Patrzyła na witraże Szpitala św. Elżbiety. Przedstawiały Chrystusa uzdrawiającego chorego. Czy przez to, że wybrałam ten zawód, już zawsze będzie musiała klócić się ze śmiercią o ludzi, których... którzy są dla mnie ważni? – pomyślała.

– Dlaczego go nie uzdrowisz? – szepnęła przez łzy do kolorowych szkiełek zalanych ołowiem.

Zdała sobie sprawę, że wszystko, czym żyła, było tylko nadzieją. A prawda jest okrutna. Jej mężczyzna nie może być uzdrowiony. On śni i nikt nie jest w stanie go obudzić. Zaczęła płakać. Po policzkach stoczyły się groszki łez. Coś w niej pękło. Skryła twarz

w dłoniach i szlochala głośno, nie kryjąc się z tym zupełnie. Nie chciała tego, ale lzy dawały ulgę.

Teraz, przed ponurym budynkiem, nikt tego nie wiedział. To było jak wyczekiwany od dawna deszcz. Oczyszczenie. Wszak płacz przynosi najwięcej radości, jeśli rozpaczamy samotnie. Ostatnio, przez kilkanaście dni, jej serce wypełniał ten mężczyzna. Dziś wszystko okazało się mrzonką? Wymysłem? Błędem? Płoną nadzieją?

Niepostrzeżenie związała się z pacjentem. A przecież jest obcy, nierealny, nieprawdziwy. Czy to dlatego, że z nim rozmawiała?

Spotykając kogoś obcego, łatwiej nam powiedzieć wszystko, co boli. Wszystko, co daje nam szczęście. Bo tylko obcy człowiek daje nam tę autentyczną możliwość całkowitej szczerości. Możliwość wypełnienia czasoprzestrzeni najbardziej prawdziwymi słowami. Otarła lzy i postanowiła, że zapomni o Maksie.

13.

Kiedy wyszła, starając się ukryć lzy, które i tak poczuł, dotarły do niego dźwięki zza okna. Brzmienie odrzutowych silników wepchnęło go do jaskini pamięci. Maks z każdą wizytą zagłębia się w nią bezbrzeżnie. Świadomość coraz śmieiej, jak zwierzę uwięzione w jego ciele, lasi się do krat choroby. Kolejne epizody z przeszłości, niczym światło w tunelu, oślepiają go nagle i niespodziewanie jak teraz.

Ryanair, lot numer 1927. Boeing 737-800. Rejs Polska – Irlandia. Baile Átha Cliath. Dublin Airport, DUB / EIDW. Bardzo twarde przyziemienie na początek, choć to parafraza końca, tyle że w odwrotnej kolejności. Krakowska – O’Connell Street. Pub Maska – Czech Inn. Laboratorium – Templebar. Fotel numer czterdzieści osiem.

Skąd wiem, czym jest przyziemienie? A DUB to Dublin, ale czytany jako delta, uniform, bravo? Skąd wiem to wszystko? Nie pamiętam, choć kobieta ze wspomnień staje się coraz wyraźniejsza. Jej larwa wije się w kokonie zapomnienia, nieubłaganie płacząc obrazy, wizje niczym sieć z własnego odwłoka.

Posłuchałem cię, przyjacielu – myśli o Danielu. – Mogłeś mieć przecież rację. Spotkałem się z nią 21 września 2008 roku o dziewiętnastej.

– Mieszkam w Dublinie – szepnęła.

– Chciałabyś kiedyś wrócić do Polski?

– Chciałabym.

– Kiedy?

– Jeszcze nie teraz. Jeszcze nie jestem na to gotowa
– odpowiada, szacując zawartość szklanki.

Jeszcze nie teraz? Pewnego dnia. Dlaczego właśnie nie dziś? Bałem się, że jutro może nie nadejść nigdy. To „jeszcze nie teraz” wisiało w powietrzu między nami przez następne miesiące. „Pewnego dnia” jednak zbyt często oznacza „nigdy”.

Zakochałem się znowu. Tak samo jak wtedy, gdy miałem dwadzieścia lat. Jak szalony ścigałem cię tej

samej miłości, lecz z każdym dniem okazywało się, że jestem innym mężczyzną, a ona jest inną kobietą. I kiedy tylko minęło zauroczenie powrotem do szkolnych lat, trop, którym staraliśmy się podążać, był już ledwie wyczuwalny. Coraz dalszy i dalszy, z nieuchronnym widmem klęski, od której oddzielał nas tylko czas. Świat wokół zmienił się na tyle, że nie mieliśmy siły. A wszystko inne było ważniejsze niż my.

– Jak sobie wyobrażasz zdrowy związek? – mówię wpatrzony w Daniela. – Jako grę słów przez internetowy komunikator: ja tutaj, a ona trzy tysiące kilometrów stąd? Rozmowa o przypalonej zupie, pierogach i o tym, co dzisiaj działo się w pracy, kochanie?

– Więc zdecyduj.

– Nie potrafię.

– Zrozum, żyjesz nie do końca realną nadzieją, że kiedyś będziecie razem. Musisz wybrać.

– I co dalej?

– Nic. Mężczyźni, o ile nie realizują jakichś zboczonych obsesji, nie domagają się niczego więcej niż solidnego seksu francuskiego, trochę miłości, ciepła i zrozumienia. To ci wystarczy, żebyś poczuł się spełniony.

– Niektórzy mają inne pragnienia.

– Ale tylko ci wrażliwsi? Albo bardziej ambitni? – pyta. – Jak ty?

– Co jeśli okaże się, że to wszystko to jednak pomyłka?

I tak mijaly kolejne dni, a pod ich wspólnym mianownikiem jak drzazga tkwiła obawa, że się nie uda. Wszystko pokreślone tym jej „jeszcze nie teraz”. Aż wreszcie musiało się coś wydarzyć.

Każda reakcja potrzebuje impulsu, detonatora. Czegoś, co spowoduje wybuch kostki trotylu od dawna przygotowanej. A eksplozja wywoła lawinę pozostałych wydarzeń. Wreszcie pojawił się detonator.

Panowie Sędziowie i Panie Sędziny, łapię się na tym, że moja podświadomość dotąd starała się odwlec tę chwilę, która właśnie nadeszła. Przedstawienie czas zacząć.

Panie, daj mi siłę, bym wytrwał – myśli. – Jesteś moim pasterzem, nie brak mi niczego. Chociażbym przechodził przez ciemną dolinę, zła się nie ulękne, bo Ty jesteś ze mną. Twój kij i twoja laska są tym, co mnie pociesza.

14.

Siedziała przy kontuarze baru pod ścianą i przypatrywała się ludziom. Nie odstępowała jej myśl, że przyszła tu niepotrzebnie. Zastanawiała się, czy to ona jest taka wybredna, czy faceci tacy beznadziejni. Większość z nich była popaprana albo przepita alkoholem.

– I jak ci smakuje? – usłyszała nad uchem. Odwróciwszy się, zobaczyła wysokiego, doskonale zbudowanego mężczyznę. – Pytałem o drinka – dodał.

– Domyśliłam się.

Natychmiast pożałowała, bojąc się, że odzywka może go spłoszyć. A prawdę mówiąc, sprawdziłaby z chęcią, co może jej ów przystojniak zaproponować.

– Orzeźwiający, słodko-kwaśny smak o miętowej nucie – rzekł z obcobrzmiącym akcentem, który obudził w niej ciekawość.

– Zgadza się. Widzę, że znasz się na drinkach. Pewnie nawet wiesz, jak się nazywa, co?

– Może nawet wiem, jak go perfekcyjnie wykonać?

– „Perfekcyjnie” powiadasz? – podchwyciła.

Nie miała już wątpliwości. W jego słowach przebijał słowiański, obcy cień. Był Rosjaninem, Ukraińcem albo Litwinem.

– To nic trudnego! – odparł, odsłaniając w szerokim uśmiechu niemal idealne białe zęby. – Trzeba trzy albo cztery ćwiartki limonki wrzucić do szklanki. Potem dodać kilka liści mięty – akcent pozostał wyraźny – cukier trzcinowy i ugnieść wszystko, aż poczujesz miętę. Teraz jest najważniejsze – ostrzegł. – Do szklanki wsypuje się kruszony lód, dolewa czterdziestkę białego rumu i wodę gazowaną. Ale w twoim wypadku to i tak wszystko na marne.

– Dlaczego?

– Żeby *mojito* smakowało dobrze, trzeba pić przez słomkę, a ty ją wyrzuciłaś – wyjaśnił, wskazując zawiązaną w supełek słomkę w popielniczkę.

– Dobry jesteś – przyznała. Spodobał się jej. – Skończyłeś kurs barmański?

– Nie. Sporo czytam.

- I piszą, jak zrobić drinka?
- Piszą, że byli tacy, co bardzo lubili właśnie *mojito*.
- Tak? A kto taki?
- Hemingway pił tak przyrządzonego przez dwadzieścia lat. Codziennie.
- Kurczę! Przyznaj się, jesteś barmanem?
- Tak, masz rację. Pracuję tu jako barman – przyznał. – Pewnie słyszysz mój akcent?
- Troszeczkę. Jest bardzo ciekawy.
- Uśmiechał się. Cholera jasna, naprawdę jest przy-
stojny – pomyślała, spoglądając w błyszczące oczy,
rozczochną czupryną i piękny uśmiech.
- Jestem Siergiej.
- Natalia.
- Pochodzę z Ukrainy, stąd ten akcent.
- Zaśmiała się. Rum w drinku zaszumiał jej troszkę w
głowie.
- Siergieju z Ukrainy – zaczęła – powiedz, co cię
sprowadza do Polski. Nie powiesz mi chyba, że drinki
Hemingwaya, co?
- Drinki robię tylko po to, aby skończyć studia.
- O, jak pięknie. A co studiujesz?
- Medycynę.
- Niemal się zakrztusiła.
- Co się stało? Nie lubisz lekarzy?
- Nie, nie, skąd!
- Więc o co chodzi?
- A jakiej specjalności chcesz być lekarzem?

– Właściwie to już jestem. W Polsce mam staż tylko i doszkolenie. Programy u nas i w Polsce są trochę inne. Jestem neurochirurgiem.

– O Chryste!

– Co znowu? Coś nie tak?

– Wszystko w porządku, Siergieju, tylko wiesz ja, ja...

– ...też jesteś neurochirurgiem?

– Nie, pielęgniarką.

– Uff. To dobrze – odetchnął.

– Czemu?

– Bo neurochirurdzy to straszni nudziarze. Tylko o trepanacjach rozmawiać umieją.

– A ja myślałam, że o ulubionych drinkach noblistów z literatury.

Odpowiedział uśmiechem. Tymczasem miała przygotowane już następne pytanie.

15.

Piątek, 28 sierpnia tamtego roku, był słoneczny i wyjątkowo ciepły. Jak całe to fatalne lato. W cieniu hangaru Maks czeka z Kacprem na start, mniej więcej od godziny czternastej.

Ten, choć młody wiekiem, jest pilotem z ogromnym doświadczeniem. Tylko dwa lata starszy od Maksa, a latał już prawie wszystkim. I nie tylko na dwumiejscowych górnopłatach z jednym silnikiem jak Cesna, którą mieli tego dnia polecieć, czy niezliczonych

maszynach ultralekkich. Gasił przecież pożary potężnym i trudnym Dromaderem czy śmigłowcami Mi-2. Nie mówiąc już o dziesiątkach godzin na lewym fotelu aeroklubowego Ana, Gawrona, Wilgi i w patykach.

– Cholera, jest za gorąco – klnie głośno, spoglądając na termometr.

Maks ufa mu bezgranicznie. Nie protestuje, kiedy przyjaciel podejmuje decyzje.

– Wiesz, Maksik, miałem nadzieję, że przylecimy tym trupem do domu szybciej i jeszcze za dnia będziemy mogli się napić. Ale nic z tego.

– Czemu?

– Nie jestem pewny tego Continentala.

– Sto koni to mało?

– Nie mało – ucina. – Sto by wystarczyło, ale pewnie nie zostało z nich więcej jak osiemdziesiąt. Albo i mniej – dodaje, skubiąc źdźbło trawy. – Pas tutaj jest krótki. Słońce pali dzisiaj jak wściekle. Poczekamy do wieczora. Będzie bezpieczniej.

– Żeby chociaż wiało, co?

– No właśnie – Kacper przytakuje, spoglądając na obwisły rękaw wskazujący siłę i kierunek wiatru.

Poznali się na lotnisku. Maks jeszcze nie myślał o spadochronach, a Kacper nie interesował się samolotami. Trafili do sekcji szybowcowej. Obaj w jednym kursie wyszkolili się do trzeciej klasy, wykonując pewnego cichego wieczoru tym samym szybowcem w promieniach chylącego się za las słońca pierwsze trzy samodzielne loty.

Tamtego wieczoru narodzili się raz jeszcze, na nowo, jako w pewnym sensie bliźniacy. Kacper pierwszy i starszy, Maks po nim. Zgodnie uznali potem, że ich lotnicza matka, szybowiec „Puchacz”, jest jednym z najładniejszych patyków, i rozpoczęło się dla nich nowe życie.

Szkolili się dalej, pomagając sobie, jak to w szybowniczym świecie. Wspólne starty, ściąganie liny, pierwsze dłuższe loty termiczne i krzyki instruktora zbliżyły ich tak bardzo, jak to tylko możliwe u ludzi kochających ciemnoniebieski świat.

Teraz, czekając na ochłodzenie, by móc w niższej temperaturze skrócić rozbieg samolotu, zebrali im się na wspominki.

– Pamiętasz, jak rzygałem po korkach? – Maks zaczyna z uśmiechem.

– Pewnie! – Kacper ożywia się natychmiast. – Obserwowałem was przez teletatr. Zrobiliście ich wtedy chyba ze dwadzieścia, co?

– Nie wiem.

– Życie zaczyna się w korku, ale też w korku może się skończyć – pamiętasz?

– Jaki ja wtedy zebrałem opierdół, to nie masz pojęcia!

– Jak nie mam? – Maks się oburza. – Pamiętam przecież!

– Tak?

– Siedziałem obok!

– Jak mogłeś siedzieć? – Kacper dziwi się, nie bardzo już chyba mając pewność, jak było naprawdę. – Przecież widziałem, jak schodzicie prawie pionowo na pełnych hamulcach i lądujecie. A potem jak wychodzisz i bez zdejmowania spadochronu kładziesz się na ziemi.

– A potem wstałem...

– ...i zaraz się porzygales – Kacper ucina z uśmiechem.

– I poszedłem do ciebie. Opowiedziałem, jak było. Siedziałeś w porcie przed wieżą, pamiętasz?

– Teraz tak! Jasne – Kacper uderza się dłonią w czoło. – Szorstki przyszedł po tobie, zobaczył mnie i obszczał jak małolata.

Szorstki był ich instruktorem. Dał im skrzydła, owszem, ale odbyło się to kosztem licznych upokorzeń, niezliczonych i niezbyt wyszukanych uwag. Świat lotniczy, a już najbardziej szybowcowy, to głównie świat mężczyzn. Rzucanie mięsem jest tu bardziej na porządku dziennym niż u policjantów czy kumpli spod celi. Każdy, kto pragnie latać, musi odpokutować swoje grzechy. Na ziemi.

– Tobie się oberwało, a mi upiekło. Pamiętasz, za co oberwałeś?

– A co ty! – Kacper zachnął się, odrzucając głowę.

– Nie pamiętam nawet, co wtedy wykrzyczał.

– Chodziło o chronometraż – Maks natychmiast przypomina kumpłowi.

– Jasne! Pamiętam! A tobie coś o cierpieniu powiedział, nie?

– No – Maks odpowiada, kiwając głową. – „Ciebie oszczędzę, bo widzę, że cierpisz”, skurczybyk!

Roześmiali się do wspomnień. Ileż ich przecież było! Tak wiele ich wtedy łączyło, a mimo to lotnicze drogi zaczęły się szybko rozchodzić. Kiedy doszli do licencji, Maks latał dalej, choć okazało się, że to Kacper jest utalentowanym pilotem. Potrafił latać pięknie, precyzyjnie i bez lęku, którego Maks nie potrafił się pozbyć. Ale Kacpra interesowały silniki, zapach spalin i dźwięk wydechu. Zaczął więc szkolić się na samolotach. Kiedy Maks pilotował wyczynowego Acro do akrobacji wyższej, Kacper miał już licencję samolotową i latał Zlinem 526, też akrobacyjnym. Potem jednak stało się coś dziwnego.

– Wiesz – Kacper zaczyna – nigdy nie wybaczyłem ci spadochronów.

– A ja tobie tego, że jesteś lepszym pilotem.

– Ach, nie gadaj! – protestuje. – Byleś świetnym pilotem, prawie tak dobrym jak ja – żartuje. – Owszem, dostałem talent. A sprzęt plus talent równa się sukces.

– Wiem, wiem, stary. Jestem z ciebie dumny.

– A ja z ciebie. Jak o tych spadochronach opowiedziałeś, myślałem, że zwariowałeś.

– Wszyscy tak myśleli – Maks dodaje natychmiast.

Każdy aeroklub jest podzielony na sekcje: spadochronową, szybowcową, samolotową czy paralotniową. Wokół nich skupiają się ludzie w obrębie własnych

pasji. Jedno niebo, jeden aeroklub, ale światy zupełnie inne. Jeśli szybownik zaczyna skakać, zazwyczaj kole-dzy z sekcji patrzą na to jak na zdradę.

– Na początku myślałem, że to jeden, dwa, najwyżej trzy skoki.

– Wiem. Też nie byłem pewien.

– Nie dziwię się.

– A nie przyszło ci na myśl, że to przez nią?

– Tak, ale to byłaby głupota. Ja nie skoczyłbym nigdy – Kacper przyznaje, kręcąc z przerażeniem głową – za żadne pieniądze. Dlatego właśnie jestem z ciebie dumny, wiesz?

– Dzięki. Ja też nie wiedziałem, że tak mi się to spodoba. Ona nie miała nic do rzeczy. Chciałem spró-bować, zobaczyć. Zawsze o tym myślałem, potem już tam na górze, w patyku, coraz częściej. I spróbo-wałem. Po pierwszych skokach jeszcze nie byłem pewny. Ale potem, już jak skakałem bez liny desanto-wej, na uchwyt, i to z czterech tysięcy metrów – uśmiechnął się do wspomnień – byłem już pewny.

– Tym bardziej że i ona zaczęła skakać, co?

Maks nic nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko odrobinę za smutno, co przyjaciel natychmiast zareje-strował. Chwilę potem poszli na obiad, posiedzieli w kawiarence i obejrzeni samolot DC-3, nie wracając już do tematu żony.

Oglądając starą „Dakotę”, Kacper natychmiast wszedł do kabiny pilotów, a Maks z zainteresowaniem

lustrował drzwi. Pilota interesowało latanie, skoczka to, jak by się ze staruszką skakało.

16.

Wreszcie mała wskazówka przesunęła się niemal na sam dół tarczy zegara. Upał zelżał. Odczekali jeszcze trzy kwadranse, ustalając w tym czasie plan lotu na mapie i jeszcze raz przejrzeni samolot przed startem. Kacper w międzyczasie wpadł na pewien plan.

Wkrótce silnik białej cessny 150 grzał się na wolnych obrotach w promieniach późnopołudniowego słońca. Pilot sprawdza *checklistę* i po próbie silnika zgłasza zamiar startu przez radio.

– Kilo Charlie Foxtrot, Krzesiny wieża, dzień dobry.

– Dzień dobry, Charlie Foxtrot.

– Proszę o start z pasa dwadzieścia pięć, Żerniki. Wyjście z TMA na południe.

– Charlie Foxtrot, wykonuj. Po starcie w TMA tysiąc stóp, potem według uznania.

– Zrozumiałem, tysiąc stóp w TMA i odejście na południe, kierunek sto trzydzieści, pozdrawiam i do usłyszenia – potwierdza.

Jego twarz wyraża w tej chwili wyłącznie skupienie. Obrzuca kontrolnym spojrzeniem wskaźniki ciśnienia oleju, obrotów silnika i temperatury głowic. Wszystko działa bez zarzutu – myśli, więc przesuwa ciężko przepustnicy, dając obroty startowe, i zwalnia hamulce.

Koła samolotu zaczynają coraz szybciej się toczyć po betonowym pasie. Delikatnie wciskając ster kierunku stopą, pilot utrzymuje kierunek rozbiegu. Wolno, bo po kilkunastu sekundach, samolot przekracza prędkość minimalną. Po oderwaniu Maks na wolancie rejestruje delikatny ruch dłoni przyjaciela nieco do przodu. Samolot, lecąc poziomo, nie wyżej niż metr nad pasem zaczyna nabierać prędkości. Kiedy wskazówka prędkościomierza przekracza osiemdziesiąt pięć knotów, Kacper płynnie, ale zdecydowanie podciąga sterownicę do siebie, przechodząc na strome wznoszenie.

– Warto było czekać – Maks słyszy w słuchawkach.

Silnik pod obciążeniem dwóch mężczyzn i paliwa nie miał wielkiego nadmiaru mocy. Samolot oderwał się już za połową pasa, a do wznoszenia mogli przejść dopiero przed jego końcem.

– Miałeś rację – mówi Maks, przyciskając mikrofon do ust.

Kacper zdejmuje klapy, kiwając głową, wciąż skupiony na pilotowaniu. Wreszcie wykonuje płytki zakręt o sto osiemdziesiąt stopni, wyrównuje lot na wysokości tysiąca stóp.

– Przejmij ster – mówi.

Maks bez oporów przejmuje sterownicę. Nigdy wcześniej nie latał maszyną wyposażoną w wolant. Szybowce miały drążek. Jedyne samoloty, które pilotował, czeski Tulak, również miał drążek.

– Wysokość tysiąc, kierunek dziewięćdziesiąt – instruuje kolegę.

Ten tymczasem resztkami szybowniczego doświadczenia delikatnie wczuwa się w maszynę: wciska delikatnie prawą stopę w orczyku i oddaje, po czym przesuwa do siebie sterownicę.

– Trzymaj parametry, a ja ustalę obroty – słyszy i już po chwili silnik ścisza pracę.

Dziób samolotu przestaje się zadzierać wysoko ponad horyzont. Maks czuje niepokój zakorzeniony w psychice pilota szybowcowego, dla którego takie położenie maski zwiastuje drżenie sterów, a chwilę potem niebezpieczny korkociąg.

– Nie martw się – pociesza przyjaciela. – Horyzont wysoko, to normalny widok. W samolotach jest inaczej. Pilnuj prędkości, to będzie okej.

– A ile ma być?

– Siedemdziesiąt.

– W porządku – Maks odpowiada, kiwając głową.

Kacper koryguje raz jeszcze obroty. Samolot leci poziomo, a w kabinie jest na tyle cicho, że mogą niemal swobodnie rozmawiać.

– Krzesiny wieża, do widzenia! – zgłasza wyjście z przestrzeni kontrolowanej. – Mają tu sufit na tysiąc stóp.

– Trzydzieści jeden. Baza lotnicza?

– Uhm. Z efami.

– Tak myślałem – Maks odpowiada skupiony na locie.

– Normalnie lecielibyśmy wyżej, przynajmniej tysiąc pięćset stóp, ale widzę, że południe mocno wieje. Na

czterystu pięćdziesięciu metrach zużyjemy więcej paliwa. Polecimy na trzysta. Będę cię pilnował. Trzymaj kierunek, wysokość i prędkość, a ja się zajmę nawigacją.

Przez kilkanaście następnych minut Maks oswajał się z samolotem i zaczął zwracać uwagę na przesuwane się krajobrazy. Lecieli nisko, dlatego czuł się niepokojnie. Dla szybownika trzysta metrów to wysokość ostatecznej decyzji: koniec szukania noszeń termicznych i podejście do wybranego wcześniej już pola i lądowanie. Nieraz zresztą tak było: ściernisko, buraki, koniczyna. Wiosną niskie zboże, byleby tylko przy drodze i jak najdalej od linii energetycznych, rowów, rzek i strumieni.

– Nisko.

– Ano faktycznie – Kacper odgaduje obawy przyjaciela.

Uśmiecha się. Sięgając do szybowcowych doświadczeń, rozumie niepokój kolegi. Dla szybownika ziemia tak nisko musi kłuć w oczy.

– No, a jak to jest – zagaduje – ze spadochronami?

– Trzysta metrów?

– Tak.

– W wolnym opadaniu to powinien już odpalić automat na zapasie.

– Czyli macie coś takiego?

– Tak. Automat na podstawie ciśnienia i prędkości spadania wie, że skoczek nie otworzył czaszy głównej. Cztery sekundy przed ziemią otwiera zapasową czaszę.

– A, rozumiem, brrr. – Pilot wzdrygnął się na samą myśl.

Widać po pierwszym napięciu wywołanym przejęciem sterów już się rozluźnił. Na to właśnie czeka jego przyjaciel. Postanowił jeszcze chwilę się wstrzymać z tym, na co wpadł jeszcze na ziemi. Zbliżali się do Wrocławia, więc mieli jeszcze przynajmniej czterdzieści pięć minut lotu.

– No, a na otwartej czaszy?

– Na otwartej – Kacper wyjaśnia – trzysta metrów to wysokość, kiedy wybiera się miejsce do lądowania i planuje krąg.

– Nadlotniskowy, jak przy samolotach i patykach?

– Właśnie. Tylko przy spadochronach jest bardziej jak szybowcowy, bo lewy.

– Dobra, rozumiem – Kacper kiwa głową.

Świat ludzi lotnictwa jest hermetyczny, a życie wewnątrz kręci się wokół własnych układów słonecznych. Rzadko bywa, żeby piloci znali się na spadochroniarstwie, skoczkowie zaś – na przykład na motolotniach. Owszem, zdarza się tak, lecz ta wiedza z obcego układu planetarnego jest zazwyczaj tylko szczątkowa. Tylko naprawdę starzy lotnicy wiedzą coś więcej, wszak zdobywają wiedzę przez całe dziesięciolecia.

– Maks?

– No?

– Ty nie masz automatu, prawda?

– No, nie mam. Wysłałem na przegląd. Na zimę przyjdzie.

– Dobra. Nie będę cię w takim razie męczył pytaniami o awarie. Powiedz lepiej, co z tobą i Anią.

Maks milczy chwilę. Potem nabiera powietrza w płuca, jakby chciał zrzucić z pleców niewidzialny ciężar i odpowiada:

– Dawno się nie widzieliśmy, co?

– No, ostatnio, jak wyjeżdżaliście do tej posranej Irlandii.

– Masz cholerną rację – rzuca. – Posrana Irlandia.

– No to mów, opowiadaj. Przecież jak wyjeżdżaliście zaraz po studiach, byliście fantastyczną parą.

– To nie było zaraz po studiach – prostuje natychmiast. – To było już dwa lata po dyplomie.

– Możliwe.

– Ty pamiętasz ją z czasów, gdy zaczęła skakać?

– Tak.

– To był ostatni rok liceum, matura. Chodziliśmy do klasy i przez trzy lata nic, ani jednej iskiejki między nami. A potem w ostatnim roku, cholera, może przez te skoki właśnie, zaiskrzyło, tak wiesz, na całość. Potem przyszedł koniec szkoły i pojechała na studia do Wrocławia.

– Skończyło się?

– Chciała uczyć się śpiewu, to pojechała. Pożarliśmy się i skończyła się pierwsza prawdziwa miłość.

– No ale przecież masz ślub z nią, do cholery?

– Cywilny – Maks wyjaśnia od razu. – Osiem lat potem odezwała się do mnie. Mieszkała w Dublinie. Po studiach wyjechała do USA, później do tej cholernej Irlandii. Tam założyła zespół i zaczęła śpiewać, jak zawsze chciała. Potem przeszukała internet i na naszej-klasie znalazła namiar do mnie – przerywa na chwilę. – Napisała e-maila, potem drugiego. Nie chciałem odpowiadać. To Daniel mnie namówił.

– Kto?

– No, czekaj – spogląda na Kacpra, zastanawiając się chwilę. – Jasne! Znasz Daniela.

– Tego glinę?

– Tak.

– No, znam.

– To on mnie namówił, żebym jej odpisał. Więc odpisałem. Potem przyjechała do Polski. Spędziliśmy trochę czasu i...

– ...wszystko z liceum wróciło?

Kiwa głową. Chwilę myśli o tamtym czasie, kiedy spotykając ją znowu, po latach zakochał się szaleńczo i bez pamięci. Myślał, że to prezent od losu i historia pasująca bardziej do komedii romantycznych niż do prawdziwego życia.

– Napisałem pierwszą książkę, nie miałem porządnej roboty. Wywoływanie fotek z wesel i komunii mnie dobijało. Grafiką się jeszcze dobrze nie zająłem i obrazy sprzedawały się słabo.

– Rozumiem.

– Obiecała robotę w Dublinie, w agencji reklamowej. Zaryzykowałem i wyjechałem. Na początku zająłem się fotografią, potem grafiką. W końcu głównie jej zespołem. Występy, nagrania i takie tam. Projekty plakatów, okładki, zdjęcia.

– A ślub?

– Nie chciałem, ale wiesz, za dużo wspólnych interesów. Stało się. Tylko że cały czas myślałem o Irlandii, zagranicy: to tylko jest na jakiś czas. Zarobić, odbić się od dna i wrócić do Polski. Wiem, że to chory kraj, ale mój.

– Każdy kamień jest ci przyjacielem.

– Właśnie. A jeśli wrogiem, to moim. A tam – podnosi na chwilę oczy do góry – przerażane! I ta cholerna pogoda. Tylko deszcz, deszcz i deszcz. Albo zmiana: deszcz i wiatr. Miałem dość. Coraz rzadziej bywała też w domu. Wróciłem znów do pisania.

– Tam napisałeś *Ereę Wodnika*?

– Tak. Z samym napisaniem nie było problemu. Kłopot zaczął się, kiedy rękopis wysłałem do wydawnictwa, a po pół roku przyszła umowa. Podpisałem. I stało się. Najpierw poszedł w trzy miesiące pierwszy nakład.

– Ile?

– Dwa tysiące egzemplarzy.

– To dużo?

– Nie bardzo. Dużo przyszło zaraz potem. Zrobili dodruk oraz reklamę. I sprzedaż ruszyła, a wydawca namawiał mnie na następną książkę.

– No, ale w czym problem? Przecież mogłeś tam pisać?

– Ale ja tam byłem obcy. To nie było życie dla mnie. Wiesz, że tam skakałem trzy, cztery razy do roku. Wyobrażasz sobie? Zresztą Ania i tak skakała mniej. Czekalem, aż zdecyduje, że wracamy. Obiecowała, wiesz: „jeszcze nie teraz”. Wiosną mówiła, że jeszcze nie teraz, wracamy jesienią. Jak przyszła jesień, mówiła, że jeszcze nie teraz, musimy poczekać. Tymczasem książki się sprzedawały i jak przeliczyłem honoraria, stwierdziłem, że po powrocie z pisania będę miał zawsze pieniądze na czynsz, jedzenie, picie, a na skoki mogę przecież dorobić. Ale będę wśród przyjaciół.

– I wróciłeś?

– Nie od razu. Najpierw ustaliliśmy, że wracam, a ona dołączy. Tymczasem będziemy się odwiedzać.

– Co?

– Latam do tej przeklętej Irlandii na tydzień, dwa i wracam. Za miesiąc, dwa albo trzy ona przyjeżdża do mnie na kilka dni. Tak się zmieniamy. A w międzyczasie rozmowy o przypalonych pierogach na Skypie.

– Nie bardzo chyba, co?

– A wiesz, co jest najgorsze? – pyta, nie oczekując odpowiedzi. – Od mojego powrotu wszystko się zmieniło. Jest jakby dalej, coraz dalej. Zaczęliśmy się klócić. Już nie wiem, co dalej ze mną, z nią i z naszym życiem.

– No to, Maksik, chyba musimy się napić i pogadać, co?

– Sam widzisz, że jest niewesoło.

– Widzę, widzę. Spotykamy się po kilku latach. Najpierw jest wesoło, a potem chodzisz zgaszony. Ja znam cię innego.

– Bo byłem u niej niedawno. W tamtym tygodniu wróciłem. I, wiesz, w samolocie już, nad Szwabią, obiecałem sobie, że więcej do niej nie polecę. Pokłóciłem się z nią ostro.

– Maks, spójrz! Poznajesz?

– No, jasne! Przecież to elektrownia – odpowiada z uśmiechem, odsuwając myśli o żonie, Irlandii i kłopotach na dalszy plan.

– Szybko, co?

– Ja wiem... – Kacper, przywykły do przemieszczania się samolotami, zastanawia się chwilę, po czym mówi: – Chyba normalnie. Godzina trzydzieści minut. Dobra, oddaj stery, już się dzisiaj nalatałeś. Teraz moja kolej.

Maks uśmiecha się do przyjaciela i posłusznie wykonuje polecenie. Przestrzajają częstotliwość na 122,2 i Kacper naciska kciukiem przycisk nadawania.

– Kilo Charlie Foxtrot, Opole port, dzień dobry.

– Jesteś wreszcie, Charlie Foxtrot, co tak długo? Ładuj. Nic się nie dzieje, możesz nawet z prostej, jak chcesz – odpowiada szef wyszkolenia. – Szykujemy się do pikniku na jutro, ale przy porcie. Będziesz widział. Pasy są wolne, nic się nie dzieje.

17.

Lotnisko Opole, Polska Nowa Wieś, dociera do udręczonej kalectwem świadomości. To właśnie lotnisko. Wspomnienie lotu z Kacprem budzi mózg Maksa do aktywności.

– Kilo Charlie Foxtrot, Opole port – słowa przyjaciela dopadają z przeszłości.

Jeszcze jeden klocek domina, z innego życia, tknięty niebacznie, porusza lawinę setek innych. Ruch dłoni, by ustawić częstotliwość. Zwykły ruch dwóch palców i seria obrazów pojawiających się natychmiast, niczym album zdjęć.

– Aeroklub Opolski imienia Lotników Powstania Warszawskiego – słyszy.

To pierwszy wykład szybowcowego szkolenia podstawowego. Ironiczny, prześmiewczy i wyjątkowo irytujący ton Szorstkiego.

– Kod EPOP, po naszymu: echo, papa, oskar, papa. O kodzie naszego lotniska według IATA nawet mówił nie będę, bo i tak, jak sędzę, nie macie zielonego pojęcia, czym IATA jest.

A potem hardy głos jakiegoś śmiałka z sali:

– To Międzynarodowe Zrzeszenie Przewoźników Powietrznych!

– Brawo, przyjacielu! – Szorstki klaszcze w dłoń zupełnie niezaskoczony. – Już widzę, że nic z ciebie nie będzie. A wiesz czemu? – Tymi słowami owego dnia Szorstki pierwszy raz dał nam przedsmak pra-

gnienia latania. Potu, trudu i wyrzeczeń, nawet godności, w imię nieba. – Bo żaden szanujący się uczeń od piętnastu lat, kiedy szkole tu pingwiny takie jak wy, tego nie wiedział. Ale wszystkich wyszkoliłem. Prawie każdy poleciał, więc w tobie widzę odmianę, mądrało.

Jakże się wtedy Szorstki co do Kacpra pomylił! A może nie? Może to była jego znienawidzona potem przez nas metoda szkolenia, by gnębiąc, mobilizować? Przecież każdy z nas latał dobrze, bezpiecznie oraz precyzyjnie tylko i wyłącznie Szorstkiemu na złość!

Byliśmy wtedy w głębokiej nieświadomości co do tego, z kim mamy do czynienia. Niebaczny na fakt, że instruktorem został potwór, że było to monstrum, przez które nie raz przyjdzie nam zagryźć zęby ze złości, ktoś zadał pytanie:

– To lotnisko było kiedyś bazą Luftwaffe, prawda?

– Prawda – przytaknął, obrzucając pytającego wzrokiem. – Nazywało się Fliegerhorst Neudorf.

– Czy Hitler był tutaj?

– Był. We wrześniu 1939 roku, po ataku na Wieluń. Razem zresztą z Göringiem i Hanną Reitsch, ale oczywiście nie sędzę, aby ktokolwiek z was wiedział, kim ona była – wtrącił natychmiast. Nie mógł się przecież powstrzymać od przyprawienia odpowiedzi barwną, wkurwiającą docinką. – Za to *Top Gun* znacie na pamięć wszyscy.

– Uhm. A Kometami to ty latałeś, cwaniaku – Maks usłyszał zaraz obok. To wtedy zrodziła się jego przyjaźń z Kacprem.

Skrawek trawy, kilka poniemieckich hangarów wciśniętych między las. Wkrótce potem miejsce magiczne. Dziś dla mnie – ciemna dolina. Psalm dwudziesty trzeci. Tu wszystko się zaczęło, kilka lat po moim pierwszym spotkaniu z Kacprem i wykładzie z Szorstkim.

Był 28 sierpnia, piątek. Każdy lotnik wie, to Święto Lotnictwa Polskiego. W weekend aeroklub zaprosił nielotów, by pokazać nasz świat. Świat błękitnego nieba i skrzydeł. Świat małej awiacji. Zbliżał się Opolski Piknik Lotniczy – wizje przeszłości docierają do świadomości chorego niespodziewanie i nadzwyczaj ostro.

Tego dnia wieczorem przyleciałem z Kacprem do Żernik. Wysiedliśmy z maszyny i zatankowaliśmy samolocik. Rozmowę mieliśmy skończyć potem.

Teraz pamiętam. Błysk owego doniosłego dnia oświetlił mnie wraz ze wspomnieniem jednego z tych czarownych zachodów słońca. Nie czułem nic prócz pachnącego przygodą zapachu lotniczej benzyny. Powinienem jednak wyczuć coś jeszcze. Jej obecność, bo przecież tam była, lecz poza świadomością, poza umysłem. Krążyła nade mną niczym sęp nad padliną leżącą na piasku pustyni. Zasadziła się na którymś z niezliczonych źdźbeł i w bezruchu się we mnie wpastrywała.

Nie umiem jej usystematyzować, nie jestem przecież entomologiem, ale pilotem i skoczkiem. A w każdym razie byłem nim wtedy – natychmiast do myśli Maksa wraca świadomość stanu, w którym się znalazł. – Wiem jednak jedno. Każda modliszka, bez wyjątku,

jest drapieżnikiem. To jedyny owadzi rząd, którego wszyscy przedstawiciele bez wyjątku zabijają.

Wspomnienie uleciało, Maks wycofał się gwałtownie.

– Ale ja ranię facetów – dudnią jej słowa w uszach.

Wysiłkiem udreżonej woli wraca do wspomnień przed czasem, kiedy to usłyszał. Jeśli mógłby wybrać, teraz, kiedy w głowie wraca minione życie, wolalby cofać się we własnym tempie, niezależnie, czy pragnie, czy nienawidzi tych wspomnień.

Tamte trzy dni zdecydowały o wszystkim, choć był to tylko pozorny zbieg okoliczności – analizował. Fałszywa pantomima faktów, przypadków i uśmiechu losu pod rozmazującym się we łzach makijażem. Czy to był przypadek – myśli – czy może śmiertcionośna broń losu? Pseudonim Boga, jeśli nie chce podpisać się pod dziełem, którego się wstydzi. Zamiary plus człowiek i mamy przypadek. Oto bluźnierstwo doskonale.

Tego wieczoru pomogłem jeszcze w przygotowywaniu imprezy. Kiedy skończyliśmy, było już późno. Kacper był rzecz jasna pijany, jak każdego wieczoru, a ja nie miałem ochoty wracać do niedokończonej rozmowy do mojej Irlandii. Wyczuł to i po prostu tamten wieczór odpuścił.

– Jedź, Maksik, pogadamy jeszcze. I napijemy się razem, bo dzisiaj się trochę już pośpieszyłem – rzekł, płacząc słowa. – Widzę, że wymęczyłem cię dzisiaj.

– Ciebie zmęczenie również dopadło.

– Owszem, ale wiesz co? Jutro – zaczął z uśmiechem – jak wytrzeźwieję, to się tak napięrdole, że hej!

Może powinienem był się upić z Kacprem? Wstać przeszkodę w tryby maszyny losu, która już przecież od dawna, ze mną w głównej roli, działała? Ale nie zrobiłem tego i nigdy się już o tym nie przekonam. Jest to bowiem cena grzechu zaniechania z nieświadomości.

Pognałem do domu.

Kolejny dzień, choć odwracam w mej głowie akta tej zbrodni z namaszczaniem, przyniósł mi ją. Wiało po raz ostatni tego roku z południa. Był to ten nieznośny wiatr, który usta rozchyła. Skąd mogłem wiedzieć, że zdmuchnie też wszystko, co łączyło mnie dotąd z Anią? Lecz zapalił też płomień w mym sercu i duszy oraz lędźwiach. Nazwałbym go dzisiaj morderczą nadzieją. Nie umiałem go opanować, wkrótce rozgorzał we mnie największy pożar życia.

Pamiętam pierwszy raz, gdy usłyszałem jej głos. Pamiętam nawet, co powiedziała, choć wiem, że zapomniała już, co mówiłem po raz ostatni. Stało się to rankiem następnego dnia po przylocie z Poznania. Gdzieś w okolicach pierwszego śniadania, choć więcej ów posiłek winien mieć ze stypy.

Pogram pikniku zakładał, że cokolwiek mieliśmy w hangarze latającego, goście powinni to widzieć. Bez względu, czy był to stary, od lat nieużywany szybowiec, czy zdezelowany samolot, trzeba było pokazać to wszystkim, którzy w te dni pojawili się na naszym

lotnisku. Wystarczyło, że wrak przypominał coś, co może latać, już interesowało to zwiedzających.

Pracowałem z innymi, bo mimo że poszczególne sekcje patrzą na siebie spod byka z przeróżnych powodów, to jednak w wielkiej aeroklubowej rodzinie jesteśmy jednością. Nie zawsze tak jest i byłbym kłamaczą, gdybym niebacznie ten generalny sąd rzucił na cały nasz hangar, ale w moim stwierdzeniu tkwi ziarno prawdy, czasem jak sól w oku. Ważniejsze jest, że ktokolwiek został tracony skrzydłem, kto wzleciał, będzie już wiecznie chodził ze wzrokiem odbijającym błękit. To, czy skrzydła ma twarde, czy miękkie, ma często znaczenie, zatem komitowy szybowcowo-spadochronowe są raczej polędwicą niż chlebem ze smalcem.

Mieliśmy przepchać samolot. Konkretnie Dromadera zulu uniform mike. Niemal trzytonowy, metalowy samolot to naprawdę kawał ciężkiego żelastwa. Aby przepchać taki parowóz po trawie, potrzeba co najmniej kilkunastu ludzi. I w tej właśnie chwili szybownicy ze skoczkami, jednocząc się na krótki czas, ruszyli bryłę z posad świata. Przepchaliśmy Dromka, a po wysiłku rzuciłem zupełnie dla żartu do skacowanego, jak zawsze rankiem, Kacpra:

– Napilbym się kakao albo chociaż ciepłego mleka.

– Kakao? – doszedł mnie z tyłu, gdzieś zza pleców, damski głos. I radosny śmiech. Jej głos. Jej śmiech.

Piknik trwał dalej. Goście latali szybowcami i samolotami. Skoczkowie układali czasie, a potem skakali.

Modelarze prezentowali możliwości swoich wartych kilka tysięcy zabawek. Dzieciarnia zadzierała nosy, spoglądając w górę ku słońcu. Matki patrzyły z obawą w oczy swoich maleństw, czy ich pociecha za kilka lat przypadkiem nie zechce latać lub, co gorsze, skakać.

Po pierwszym dniu pognałem do domu jak każdego wieczoru, niepomny o zaproszenie Kacpra na piwo i coś jeszcze. Wciąż przecież miałem swoją umierającą nadzieję. I nierozwiązany konflikt wewnętrzny. Tam, gdzie umiera nadzieja, rodzi się jednak próżnia, którą wkrótce przyszło mi z beztróską wypełnić głupotą.

Na lotnisko wróciłem nazajutrz, drugiego dnia naszej corocznej imprezy. Wróciłem z aparatem fotograficznym, bo dzień zapowiadał się ciepły i słoneczny, fotogeniczny.

Wracające wspomnienia mówią wyraźnie, że jestem przede wszystkim skoczkiem, ale także szybownikiem. A w każdym razie byłem nim w chwili, kiedy to wszystko się działo. Zajmowałem się obsługą startu szybowcowego. Ludzie wsiadali z Szorstkim w szybowiec, zapinałem im pasy i cieszyłem się widokiem ich oczu, kiedy pierwszy raz w życiu mogli oglądać ziemię oczami Boga.

Co jakiś czas przychodziła pora wylotu pocziwego Antka ze spadochroniarzami na pokładzie. Ja nie skakałem. Ktoś nie może skakać, by skakać mógł ktoś inny. Miałem własne zadanie.

Skoczkowie najpierw układali spadochrony na oczach zgromadzonych, a działo się to w przerwach

między wylotami starego dwupłata. Potem w rzędzie, w kolorowych kombinezonach i kaskach, zajmowali miejsca na pokładzie. Po kilku minutach od startu widzowie zadzierali głowy w górę i czekali na huk otwierającej się czaszy. Część zresztą z podświadomą nadzieją, że jednak jakiegoś spadochronu nie uda się otworzyć i w bonusie doświadczą widoku efektownej śmierci.

Kiedy paraszuciści skaczą, pozostali latać nie mogą. Mogłem przy starcie odetchnąć. Chwytałem w dłoń swoją lustrzaną z teleobiektywem i fotografowałem. Mówią, że dobrze mieć jakąś pasję. Owszem, przyznaję, tym bardziej że lubię... lubilem – poprawiam się w myślach – ten mlaskający odgłos, kiedy naciskałem spust i rejestrowałem tę właśnie chwilę, której już nie było, ale do której będzie można powrócić, spoglądając na fotografię.

Jak wiele dalbym teraz, by móc spojrzeć choćby na jedno zdjęcie, które za życia zrobiłem. Twierdzić śmiem jednak, że czasem lepiej nie mieć pasji. Tamten dzień takim był właśnie czasem.

Najlepsze fotografie powstają gdzieś na zewnątrz. Na marginesie tłumy. Na ramie wydarzeń albo poza nią. Kiedy wybuchła chwila, którą teraz odgrzebuję z popiołów ciała, i wraca mi pamięć, lądował samolot. Prawie wszystkie oczy zwrócone były w jego stronę. Prawie wszystkie, ale nie moje...

Ciemne, przeciwsłoneczne okulary, biała bawełniana koszulka na ramiączkach, rozepchana obfitym bius-

tem, spodnie w brązowe paski, białe buty, niebiesko-czerwony spadochron Falcon. Dodam, że czasza 215, bo nawet teraz, bez władzy nad ciałem, wciąż pozostaję skoczkiem. Ciemne włosy spięte z tyłu. Opadająca w lewo, na oczy, urocza grzywka, którą później tak bardzo polubiłem. Nie wiedziałem jeszcze, kim jest. Nie wiedziałem też, że dobre kobiety są lepsze od dobrych mężczyzn, a złe – o wiele gorsze od złych facetów.

Układała się na stole spadochronowym. Był nim prostokąt z twardego, syntetycznego materiału o rozmiarze, strzelmy sobie, XXXL, 25 x 10 metrów, bo pewien nie jestem. Liczby nigdy do mnie nie przemawiały. Kładliśmy ów na trawę, na nim rozkładane były spadochrony i układaliśmy się do skoku. Ten nasz stół – och, jak dobrze pamiętam – był koloru złamanej nóżki borowika szatańskiego. Tak bardzo, bardzo błękitny, jak niebo, jak oczy.

Widzę ją teraz okiem mego obiektywu ostro jak nigdy. Pochyla się nad czaszą już zwiniętą w gluta. Z wysiłkiem godnym mrówki przenoszącej kawałek drewna stara się złożyć ją do najmniejszych rozmiarów, by wcisnąć do paczki. Otulona materiałem bezskutecznie stara się nie poplątać wszystkich tych linek od tych kolorowych, podszytych adrenaliną szmat.

Wycelowałem i ustawiłem kadr. Cicha, krótka praca silniczka ustawiającego ostrość. Wstrzymałem oddech jak snajper. Nacisnąłem spust. Pstryk, pstryk, pstryk... Seria zdjęć. Zupełnie świadomie namalowałem ją świa-

tlem. Boże, przeklinam cię, przeklinam cię po tysiąc-kroć za otwarcie migawki aparatu. Nie wiedziałem, że patrząc, jestem ślepy. Że nie widząc nic poza to, co było widzialne, byłem ociemniały.

Patrząc już w domu na owo zdjęcie, zrozumiałem, że fotografia nie jest związana z patrzeniem, ale z czuciem. Za kilka tygodni zrozumiałem jeszcze, dlaczego to jedno, przekłete dziś zdjęcie tak bardzo mi się wtedy podobało. I nie tylko mi. Każdemu, kto je zobaczył. Bo jeśli fotografując, nie czujesz, to nic nie osiągniesz. Dopiero obudziwszy uczucie, gdy patrzysz w wizjer, możesz sprawić, by oglądający również coś poczuli.

DSC09622 – suche oznaczenie pliku. Cholerne cyfry, tak bardzo bez wyrazu. Godzina 09:31, 30 sierpnia, mniejsza, którego roku. Nie jestem pewien. Oto dowód rzeczowy, panowie przysięgli, numer dwa.

Tego dnia zdobyłem ponad pięćset zdjęć. Dlaczego kilkanaście z nich było właśnie z nią? Czemuż obiektywu aparatu nie skierowałem na kogoś innego? Z jakiego powodu ją właśnie sfotografowałem? Czy w przerwie między wylotami nie mogłem rzucić pędzla aparatu na inną impresję? Na tysiące innych kadrów cisnących się przed oczy? Lecz w tej jednej, diabelskiej minucie, na kilka zaledwie sekund znalazłem się przy niej. Wystarczyło.

Pytania cisną się na usta jak oskarżenia. Odpowiedź jest bardzo prosta, mój przyjacielu – Maks, zapamiętany w monologu, wtórując powracającym wspomnieniom, krzyczałby, gdyby mógłby z siebie wydobyć

choć szept. Ale nie potrafił. Był tylko kaleką, w którego głowie działo się coś, o czym nie wiedział nikt poza nim samym.

Była urodziwa i zwracała uwagę. Atrakcyjna brunetka składała spadochron w pełnym słońcu, które choć wciąż grzało, nie było tak ciepłe jak wcześniej. Niczym magnes przyciągnęła zabelone zaćmą samotności oko. A może się myślę, Panie Boże? Może chciałeś, aby tak właśnie było? Może chciałeś tego? Nigdy już się nie dowiem. Wiem jedno. Tamtego dnia powinienem wyjechać stamtąd i nigdy już tam nie wrócić.

Teraz wiem, że nie byłem pierwszym i nie ostatnim, który skierował teleobiektyw wzroku na uroczy uśmiech, przepiękne oczy i urodziwy biust. W następnym tygodniu widziałem nie raz ten wzrok. Gdybym tylko zdawał sobie sprawę, że skierowawszy się w jej stronę, wydałem na siebie wyrok bez możliwości apelacji. Wkrótce przyszło doświadczać najgłębszego smutku, jaki kiedykolwiek poczułem. Targnąłem się w nadludzki wysiłek na próbę wyjścia z samotności. Kosztowała tak wiele. Nie mogłem wiedzieć, że będę walczył o bezsensowną miłość w nieustępliwym, morderczym cierpieniu, zgotowanym przez nią uśmiechem.

Tych, którzy niebacznie spojrzą w jej stronę, niech dobry Pan ma w swojej opiece. Gdybym tylko wiedział, na kogo patrzę. Gdybyście wy wiedzieli, na kogo spoglądacie. Nie byłbym teraz kawalkiem ścierwa na szpitalnym łóżku żywionym przez rurkę. Nigdy nie

bylbym winien śmierci człowieka. A zbrodnia, której się dopuściłem, nie przysłoniłaby mej postaci.

18.

Teraz widzę, że w tamte dni byłem jak ćma. Na oślepe rwałem się do ognia, choć gdzieś w głębokiej podświadomości czaiła się myśl, ostrzeżenie i pulsujący alert, że może przecież zabołec. Wiedziałem, że jeśli zbliżę się wystarczająco blisko, spłonę niczym pochodnia. Czyniłem to jednak uparcie w złudnym przeświadczeniu własnej wartości i siły.

Piknik w niedzielny wieczór zgasł wraz ze znikającymi za lasem promieniami słońca. Po gorącym dniu zostało osobliwe wspomnienie. Tamtego dnia podeszła do mnie wiedziona tajemniczą siłą, może instynktem? Albo czymś innym jeszcze, nie wiem – Maks rozmyślał – nie to jest ważne zresztą. Istotne, że spojrziała po raz pierwszy w moje oczy, rozchylając usta.

Byłem przy starcie szybowcowym. Powinienem właściwie powiedzieć, że w kwadracie, zdradzając swoją twardoskrzydłą naturę. Skoczkom „kwadrat” niczego nie mówi. Pilotom opisuje miejsce, gdzie są radio, kierownik lotów i wszyscy, którzy mogą się tam znajdować.

Zainteresowanym awiacją szepnąlbym cichutko, że lataliśmy Puchaczem. Niezaznajomionym z równaniem Bernoulliego nic to jednak nie podpowie. Należy

zatem objaśnić, że ważącą trzysta sześćdziesiąt kilogramów latającą aerodynę trzeba przepychać kilkanaście metrów, obrócić i podpiąć doń linę wyciągarki, aby owa piekielna maszyna mogła wystartować. Wszystko w pełnym słońcu, od rana do późnego wieczora, kilkadziesiąt razy. Praca szybownika na kwadracie to ciężka harówka.

Nie pamiętam, o której to się stało – myślał, starając się przebić przez ciemną ścianę zapomnienia. Strzępki tego, co nazywam wspomnieniem, każą myśleć, że stało się to w godzinach, kiedy słońce ruszyło w drogę ku zachodowi. Wiem tylko, że właśnie poszedłem zjeść coś, by nie paść z głodu. Gdy wróciłem, ledwie kilka minut po posiłku podeszła ze swoim kolegą.

– Mamy wam pomóc – rzuciła, patrząc mi w oczy.

– W czym?

– No, tutaj, przy szybowcu – odparła rezolutnie. – Wy idźcie coś zjeść.

– Właśnie jadłem – odparłem.

Miałem na sobie jasnożółtą, odblaskową kamizelkę, obwieszczającą każdemu, że jestem z obsługi imprezy. Znowu spojrzała mi w oczy, o ułamek sekundy zbyt długo.

– Rozbieraj się – rzuciła po chwili z uśmiechem.

Nasz wzrok znów się spotkał. Nie wiem, czy przeżyliście coś podobnego, lecz tutaj jest okazja, by odkurzyć jeszcze jedno wspomnienie z życia.

Posiadałem kiedyś pewien dar, o którym teraz muszę wspomnieć. Nazwijmy to, dla uproszczenia, prze-

czuciem. Metafizyczna chwila, w której czujesz, że ma ona jakieś nieokreślone, drugie dno. Że to chwila, która zwiastuje doniosłe wydarzenia. Amforyczny moment, szczególny, zapowiadający intuicji coś, czego nie sposób uniknąć. To był ten właśnie moment. Dotknęliśmy się spojrzzeniami.

– Mamy wam pomóc i zmienić was – dodała.

Wiedziałem już wtedy, że coś się między nami wydarzy. Nieuchwytnie przeczucie jak zapach, jak coś, czego nie widać, a mimo to wiadomo, że jest gdzieś obok, tuż-tuż, za rogiem. Nadzwyczaj trudno opisać tę chwilę z należytą wyrazistością. Szczególnie teraz, kiedy jest się tylko zatopionym okrętem z uwieczoną w kadłubie świadomością, gdzieś na dnie Rowu Marińskiego.

Coś się wydarzy – zaiskrzyło w głowie – gdy spojrziałem w jej oczy. Intuicja typu kobiecego nigdy mnie przecież nie zawodzi. A było to ostrzeżenie, które tak głupio zignorowałem. To i kilka następnych. Było jak wstrząs, wyladowanie elektryczne, błysk, dreszcz, które stały się nieuchwytnym udziałem naszego namiętnego rozpoznania... Lecz wszystko to tak idiotycznie przeoczyłem.

– Poradzimy sobie – odparłem.

– Jak chcecie – fuknęła i poszła.

Po pikniku, oprócz owego eterycznego wspomnienia, zostały zdjęcia. Dziś przeklinam cholerną fotograficzną pasję. I nie mam złudzeń. Tak właśnie zaczęła się nasza mordercza historia. Niech na chwilę za-

trzymam tę scenę. Och, jak boli! Przypatruję się jej zaszytymi kalectwem oczyma ze starannością płatnego zabójcy spoglądającego w celownik optyczny snajperki.

Książki, obrazy i fotografie są czymś, w czym można zatrzymać wspomnienia. Dlatego za życia pisałem, malowałem i fotografowałem. Nie chciałem zatrzymywać wspomnień w sobie, zostawiałem je innym. Żyłem tym, co zapomniałem. A kiedy moje ciało umarło, żyję tym, co pamiętam.

Fotografia to jednak tylko obraz. Może mówić wiele, ale najważniejsze jest, jak się na niego patrzy. I co chce się przez niego powiedzieć.

Patrząc na nią, nie widziałem całej złośliwości, przewrotności ani reszty jej paskudnej i fascynującej osobowości. Nie widziałem zła, bo ono leży gdzieś w głębi, ukryte na dnie jak mina. Zamaskowana powierzchownością musi zostać dotknięta, by mogła urwać jaja lub zabić. Skrywa się za pięknym uśmiechem, zalotnym spojrzeniem, atrakcyjną sylwetką, biustem i oliwkową cerą. Zdjęcie więc nie mogło być inne, jak tylko piękne. Fałszywe, acz piękne.

Jest gdzieś w odmetach internetu do dziś. Jest nadal. Nikt jednak poza mną nie dostrzeże, co w nim widziałem. Co zobaczyłem. Oto prawdziwa tajemnica fotografii.

W poniedziałek następnego dnia, kiedy rozpoczęła się moja droga ku śmierci, przeszedłem bramy piekieł na aeroklubowym forum. Ach, znów ten internet,

bezwstydnik! – Maks z zadziwiającą łatwością przypominał sobie kolejne fakty. Zdawało się, jakby wszystko, o czym myślał, wydarzyło się zaledwie wczoraj, nie zaś przed kilkoma długimi miesiącami.

„Witam!” – napisał Arkos, otwierając wątek na forum. I dodał: „W tym temacie zamieszczę linki do zdjęć i filmu z Pikniku Lotniczego. Może ktoś dorzuci też coś od siebie...”

A ja, głupiec niepomny o zagrożenie, które zastawili nade mną los i ludzie w jego rękach, beztrosko pomyślałem: skoro zrobiłem tyle fotek, dodam też własną. I tak też zrobiłem.

„Niezłe oko :-)” – napisała pod spodem.

O, gdybyś, kobieto nikczemna, choć umiłowana, tego nie uczyniła! Gdybyś tych czternastu znaków nie postawiła! Gdybyś czternaście razy nie stuknęła płacami w klawiaturę, gdzieś w czeluściach jamy, z której do mnie wypelzłaś! Być może dziś nie byłbym mordercą przypominającym sobie własną zbrodnię.

Czternaście znaków. I jeden fałszywy ton, jak całus Iskarioty. Nieuchwytna nuta, gdzieś spoza pięciolinii. Ja, beznadziejnie głupi, oczarowany kolorem oczu, cyckami, nie słysząc głosu rozsądku, coraz bliżej dopuszczałem demona do siebie.

Być może nie byłbym tym, kim jestem teraz. Być może też ludzie nie dowiedzieliby się, kim jesteś naprawdę. Lecz stało się i nic nie zmieni tego, co mamy za sobą. Nikt nie cofnie śmierci, za którą jestem odpowiedzialny. Nie zmyje krwi z dłoni.

19.

Włączyła laptopa. Wpisała hasło „Magda”. Była niewyspana i nie miała ochoty z nikim rozmawiać. Po chwili połączyła się z internetem. Otworzyła skrzynkę e-mailową. Spojrzenie jej brązowych, błyszczących oczu zarejestrowało kilka nowych wiadomości, których nawet nie miała ochoty otwierać. Nic z pewnością nie znaczą – myślała.

Weszła na forum aeroklubu. Zalogowała się i zauważyła, że ikonka przy dziale „Sprawy aeroklubowe” jest pomarańczowa. To mogło oznaczać tylko jedno: pojawiło się coś nowego.

To był wątek „Piknik Lotniczy – zdjęcia i filmy! Poniedziałek, 31 sierpnia 2009 r., 6:48”. W treści podany był link do galerii zdjęć. Kliknęła. Zaczęła je oglądać. Pięćdziesiąt siedem fotografii, typowy reportaż. Niektóre bardzo udane i ciekawe – oceniła w myślach – ale na żadnym z nich nie znalazła siebie. To akurat bardzo dziwne – pomyślała. Gdziekolwiek się przecież znajdzie i gdzie jest ktoś z aparatem, zawsze ją fotografowano. Dawno już się do tego przyzwyczaiła. Tym razem było jednak inaczej. Dziwne – skomentowała bezgłośnie swoje myśli.

Pod linkiem do galerii było jeszcze jedno hiperłącze. Prowadziło do filmu. Zdecydowała się jednak obejrzeć go potem. Teraz zainteresowało ją zupełnie coś innego.

Przeniosła wzrok. Ciemne źrenice przebiegły błyskawicznie po znakach na migoczącym ekranie. Następny post zamieścił jakiś Maks. Rzuciła wzrokiem na jego zdjęcie. Niezbyt czytelny awatarek obok nic jej nie mówił. Miniaturka nie przywiodła na myśl żadnej znajomej twarzy z lotniska. Zresztą należała raczej do jakiejś kobiety. Niedobrze – poczuła, że dopada ją rozdrażnienie. Zmrużyła mimowolnie oczy i przez chwilę przestała mrugać. Nie kojarzyła tego faceta zupełnie, a to jest akurat nie do pomyślenia – oceniała sytuację w myślach. Ale nic w tym dziwnego, pojawił się przecież na lotnisku ledwie kilka tygodni wcześniej. Mogli się jeszcze nie spotkać.

Analizowała obraz z laptopa dalej. Data dodania postu: „poniedziałek, 31 Sie 2009 10:32”. A zatem dzisiaj. Spojrzała, co też ów nieznajomy Maks napisał: „Dorzucam link do swojej galerii, gdzie większość zdjęć jest z naszego lotniska, z różnych imprez”.

Kliknęła i weszła. Zdjęć było kilkadziesiąt, na pewno ponad sto. Natychmiast zauważyła, że łączy je jedno. W większości to monochromatyczne, właściwie czarno-białe obrazy. Pierwszy powiększony kadr przedstawiał samolot gaśniczy zrzucający wodę. Ta sama maszyna, którą przedwczoraj przepychała z szybownikami. Pod fotografią Dromka zamieścił trochę dziwną notkę, coś w rodzaju komentarza: „Dobrze, że są samoloty, które bombardując, nie powodują bólu, kalectwa i zniszczenia, ale od tego chronią. I to

jest w nich wspaniale. Zdjęcie z Pikniku Lotniczego 2009 w Aeroklubie Opolskim”.

– Hm – mruknęła głośno.

Zainteresowało ją to. Wycofała się na chwilę na stronę główną galerii. I wtedy dostrzegła tę twarz na innej, wyraźniejszej miniaturce. Nagle tęczę jej oczu gwałtownie się zmniejszyły, ustępując miejsca czerni źrenicy niczym u kota wpatrującego się w sunącą po podłodze mysz. Niewielka fotografia wystarczyła, by przyporządkować tę twarz do mężczyzny, którego widziała na lotnisku. Zatrzymała wzrok na tym obrazie nieco zbyt długo. Wprawdzie nigdy jej nie zainteresował, ale widywała go. Bywał tam. Wiedziała o nim. Znała go, można by powiedzieć, z widzenia. To ten z sekcji szybowcowej. Podobno oprócz latania czasem skacze. Wiedziała o tym, choć jeszcze nie skakali razem. No ale ja też skakałam tam dopiero kilka razy – wyjaśnienie przyszło jej na myśl niemal automatycznie. – To ten facet, do którego podeszłam z Grzesiem. Miałam zmienić go przy obsłudze startu szybowcowego – przypomniała sobie.

Nie był zupełnie w typie mężczyzn, którzy ją interesowali – oceniała dalej. Był zbyt... Jego uroda przywodziła raczej na myśl kobietę. Był szczupły. Miał regularne rysy twarzy, długie rzęsy i gładką, bez pryszczki i wyprysków cerę. Nie jedna kobieta mogła pozazdrość temu mężczyźnie twarzy. Całość sylwetki dopełniały włosy, dodające jeszcze więcej kobiecego pierwiastka jego urodzie. Jak na mężczyznę miał dość

długie włosy. Kręcone, niesforne loczki żyły własnym życiem na jego głowie, niemal każdy z osobna. O tak, nie był w jej typie! A jednak na plecach poczuła dreszcz. Jasne włoski na jej przedramionach podniosły się. Zwilżyła językiem górną, dużo węższą od dolnej wargę. Wróciła do oglądania.

– Interesujące – pomyślała po chwili. – Przecież to zdjęcie samolotu zrzucającego bombę wodną jest niemal identyczne jak tamto, które oglądała wcześniej w galerii gościa zakładającego wątek. Ten sam samolot, ta sama chwila i nawet prawdopodobnie obaj robili je z tej samej perspektywy. Ogromna maszyna na tle mocno wybudowanych chmur, zrzucająca kilkumetrowej wysokości słup wody. Kilkaset litrów wody przemieniającej się w powietrzu we mgłę, ciągnącej się warkoczem za samolotem jak za kometą Halleya. Niemal dwie identyczne fotografie. A mimo to mają w sobie coś takiego, co je odróżnia. Co czyni je zupełnie innymi? – analizowała w myślach. – Może to, że jego jest czarno-białe? – mruknęła pod nosem. Nie lubiła czarno-białych zdjęć. Woląla kolorowe. Uważała, że wyrażają znacznie więcej. To jednak było inne. Drażniło ją. Co sprawia wrażenie tej inności? – myślała. Jakie oderwanie od rzeczywistości pokazuje? Wydaje się, jakby tamten facet, robiąc zdjęcie, stał obok, na zewnątrz. Nie dokładnie przed tym samolotem, ale kilka metrów od niego.

– Dziwne – szepnęła do siebie cicho.

Choć samolot zastygł na zdjęciu w bezruchu, to jednak zdawał się trwać w szaleńczym pędzie naprzód. Niemal wyskakiwał z kadru. A może to ten głęboki, refleksyjny podpis? – wciąż nurtowała ją przyczyna, dla której zdjęcie przykuło jej uwagę. Nie wiedziała dlaczego. Ale nie miała wątpliwości, że musi zobaczyć inne jego fotografie.

Kolejna praca znów zrobiła na niej ogromne wrażenie. Sfotografował piorun! Błyskawica na soczyście niebieskim tle rozświetlała całe niebo aż po granice lasu za lotniskiem. Nie potrafiła się powstrzymać, oglądała dalej. Poczula, jak ogarnia ją znajome ciepło. Sfotografowanie burzy z piorunami to jest naprawdę coś – myślała. A pokazanie jej w tak piękny, przejmujący sposób to prawdziwa sztuka.

Kolejny kadr tak samo ją zainteresował jak pozostałe. Był to startujący na tle lasu samolot Wilga. Niby dość pospolity w jej spadochroniarskim życiu widok, a jednak po chwili zrobiło się jej ciepło. Coś w tej fotografii przykuło jej wzrok. Zaraz za samolotem uchwycił w kadrze przelatującą jaskółkę. Co za symbol! – myśl dopadła ją jak porażenie prądem! Samolot i ptak! Kolorowy samolot na tle czarno-białej reszty.

Zachwycona oglądała dalej. Samoloty, szybowce, skoczkowie i paralotniarze. Wszystko pokazane tak, jak nigdy na to nie spojrzała. Na to, co ją przecież fascynuje, nie patrzyła w ten sposób. Zwykle chwile zamienione w mikroskopijne dzieła sztuki. Romantyzm latania i maszyny pokazane, jakby stanowiły żywy or-

ganizm. Z prawdziwą, ludzką duszą. Nie umiała tego wyjaśnić. Fantastyczna galeria, choć w czarno-białych kolorach. Nie do końca akceptowała, że spogląda na swój świat innymi oczyma. Jego oczyma.

Kiedy nasyciła zmysły oglądaniem zdjęć, wycofała się i wróciła na forum. Naprawdę podobały jej się te zdjęcia. Nie potrafiła się powstrzymać. Spojrzała na ekran, obejrzała raz jeszcze twarz ze zdjęcia. Uśmiechnęła się i wystukała na klawiaturze.

– Niezłe oko :-)

Zaintrygował ją. Te zdjęcia były po prostu piękne. Musi poznać go bliżej – przemknęło jej przez myśl. Ktoś, kto tak patrzy na świat, może być interesujący. Przecież to zupełnie inny punkt widzenia. Nawet jeśli jest tak mało męski. Tym bardziej że on pojawia się na lotnisku, więc wcześniej czy później będą mieli okazję porozmawiać.

Kolejna jej myśl dotyczyła następnego dnia. Jutro są przecież jej urodziny. Uśmiechnęła się do siebie – z tylko sobie wiadomego powodu.

20.

W dzień urodzin wstała późno. Bardzo późno. Właśnie skończyłam dwadzieścia pięć lat – było jej pierwszą myślą. Spojrzała na komputer. Zamierzała sprawdzić, kto z jej sześciuset pięćdziesięciu znajomych na naszej-klasie pierwszy pamiętał o urodzinach. Jednak najpierw zalogowała się na skrzynkę e-mailową.

Nagle zaklula ją w oczy informacja: „Otrzymałaś nową prywatną wiadomość na forum Aeroklubu Opolskiego”. Pomijając wszystkie pozostałe e-maile, natychmiast wpisała login i hasło na forum.

Kto z lotniska mógł do mnie napisać? – pomyślała. – Chłopaki z sekcji? Pewnie jakieś informacje na temat skoków. Może jakieś wyjazd. Coś się dzieje. Wreszcie strona się otworzyła. Poczula ten dreszcz. Zaraz najedzie kursorem i kliknie, by otworzyć „nowe”.

Na ułamek sekundy, nim palec nacisnął przycisk myszy, dopadło ją: dobra, ale skąd aż taka ekscytacja zwykłą wiadomością? W tej samej chwili jej oko zarejestrowało nadawcę.

On. Mężczyzna od zdjęć. Maks.

Żrenice Weroniki gwałtownie zrobiły się większe. Wargi oddzieliły od siebie. Patrzyła na nagłówek. Tajemnica czekała na nią. Była w niej obietnica. Była niespodzianka. Było coś nowego, tak ekscytującego. Był on.

21.

Napisałem do niej prywatną wiadomość – kolejne wspomnienie dopada Maksa natychmiast po śnie, którego długości nie potrafi ocenić. Może było to kilka sekund, a może godzin? Nie ma pewności, czy kiedy zniknął, kiedy nie był i śnił, nie trwał w tym stanie kilka dni lub nawet tygodni. Za to sen pozostawił ślad.

Nie zostałbym mordercą – kolejne wspomnienie drażni – gdybym nie wysłał fatalnej wiadomości. Gdybym nie dostrzegł przekłętego postu. Ale napisałem i domino ruszyło. Nic nie mogło już go wtedy zatrzymać.

„Dziękuję, ale muszę przyznać się do czegoś straszego – zacząłem. – Oto efekty zbrodni, której się dopuściłem” – wstawiłem hiperłącze do zdjęcia. „Przepraszam, ale nie potrafiłem się powstrzymać” – dodałem.

Zdjęcie. Jedno, jedyne, pozornie niewinne zdjęcie. Fotografia jak pięćset innych tamtego dnia. A mimo to wyjątkowa. Dowód rzeczowy. A na nim ona, ze spadochronem na ramieniu, prawym, bo to istotne. W przeciwsłonecznych okularach, piękna, zmysłowa, frenetyczna. Otulona czaszą z rozwartymi namiętne ustami. Niczym nimfa wychodząca z morza, mokra od piany i piasku. Z łańcuszkiem na szyi, który mam przed oczyma. Z wsuwkami we włosach, które obracam w zakrwawionych dłoniach. Kurwa, czemu ja?

Potem przyszedł wtorek, dzień następny. Pierwszy dzień września, najpiękniejszy dzień roku 2009. Dreszcz, emocje, oczekiwanie i trawiąca duszę niecierpliwość. Tłusta czcionka na migoczącym ekranie: „Otrzymałeś nową prywatną wiadomość na forum Aeroklubu Opolskiego”. Obietnica.

„Jeśli nazywasz to zbrodnią, musi być i kara” – odpowiedziała literacko. „Ale od wymierzania kary muszę odstąpić. Zdjęcie bardzo mi się podoba. Tym bar-

dziej że nie wiem, kiedy je zrobileś i jak. Na dodatek myślałam, że układam się zawsze na prawym ramieniu”.

„Bo układasz się na prawym. Zdjęcie zostało delikatnie przez jego sprawcę poprawione” – pisałem. – „Prawa strona zamieniła się na lewą, aby kompozycja stała się bardziej pozytywna. Kolory ustąpiły odcieniom szarości, by efekt był artystyczny, trwalszy i mocniej uderzający. A sfotografowana kobieta piękniejsza”. Już za same te słowa winieniem dostać minimum trzy lata – uderza go smutna refleksja.

Tylko jedno kliknięcie myszką w obrazek „wyślij” i los może się już nie odwrócić. Nadchodzi taka chwila, gdy tracisz panowanie nad życiem i zaczyna nim rządzić coś, nad czym nie masz kontroli. I największym niebezpieczeństwem mogą być tylko błędne decyzje.

22.

Przeczytała. Była podekscytowana. Czula to. Nie tylko zrobił zdjęcie. Modyfikował je potem w jakimś tajemniczym programie, tak samo jak tamte w galerii. Zajmował się tym zdjęciem. Pracował nad nim. Tracił czas po to, aby pokazać moją urodę – myślała z wypiekami na twarzy.

Zaimponował jej. Zaimponowało jej w nim również, że nie bał się i napisał prostą, konkretną wiadomość ze zdjęciem. Otwarcie, bez strachu, oporów, pewny siebie. Do niej, której przecież zupełnie nie

znał i z którą nie zamienił nawet ani jednego zdania. Nie ukrywał między wierszami, że jest nią zainteresowany. Nie napisał tego wprost i tym lepiej. Czowała jednak, że tak właśnie jest. Najpierw zdjęcie, potem wiadomość. Musiała dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

W profilu był odnośnik do jego strony. To jej na pewno coś da – pomyślała, naciskając przycisk na myszce. Weszła. Wyświetliła się prosta, czytelna strona. Pierwsze, co rzuciło się jej w oczy, była okładka książki. Czyżby prowadził księgarnię internetową? – uderzyło ją. Potem spojrzała na okładkę raz jeszcze. Skołowana przeniosła wzrok na następną. Identyczne imię i nazwisko. Co jest? – myślała. Książki! Jego książki? Nie mogła uwierzyć.

Przecież nie mógł być pisarzem! – myślała. Owszem, mógł robić zdjęcia, latać szybowcem, skakać na spadochronie czy jeździć na nartach... Ale nie mógł być pisarzem! Pisarzy się nie spotyka. Oni istnieją bezcieleśnie tylko nad tytułami. Nie знаła nigdy nikogo takiego, a przecież poznała setki mężczyzn.

Zaczęła gorączkowo przeglądać witrynę. Bez czytania treści, tylko by ogarnąć jej zawartość ogólnikowo. *Era Wodnika*, hm, ciekawe – szepnęła, podnosząc brwi – choć tytuł zupełnie nic jej nie mówił. *Umrzeć w deszczu* – tytuł zainteresował ją na tyle, że przeczytała wszystko, co napisano o książce na stronie.

Kończąc, wpisała jego imię i nazwisko do wyszukiwarki. Google ukazało po chwili internetową prawdę. Pojawiły się dziesiątki stron odpowiadających na zapy-

tanie „Maksymilian Szulc”, wśród których zdecydowaną większość stanowiły księgarnie internetowe.

„No to tym bardziej jestem pod wrażeniem. Głównie dlatego, że miałeś czas na to!” – odpisała jeszcze tego samego dnia. Po czym zastanowiła się i zaraz wysłała następną wiadomość: „A tak w ogóle to sprawiłeś mi bardzo miły prezent urodzinowy. Muszę przyznać, że drugi raz mnie zaintrygowałeś”.

Postanowiła nie zdradzać się, że inwigiluje jego cyfrową tożsamość. Wróciła na stronę. Pisał blog. Od dawna. Przeglądała kolejne posty. Chciała wiedzieć o nim jak najwięcej. Drażniło ją, że nie może się z nim spotkać i zacząć rozmawiać, wypytywać. Po prostu, normalnie, tradycyjnie. Jak zwykle. Teraz, zaraz, natychmiast. Przecież w ten sposób nie ona rozdaje karty. Nie jest górą, a tak być powinno.

Czytała. Ciekawe, bo czasem – myślała – zupełnie nie rozumiała, o co mu chodzi w postach, mimo to czytanie sprawiało jej jakąś dziwną, nieokreśloną przyjemność. Niektóre wpisy się jej nie podobały – oceniała wprost – mimo to czytała. Zauważyła, że jest w nich jakby nieprzebrany ocean smutku. Inne miały niezwykle wydźwięk. Nieuchwytny pierwiastek nihilizmu, który kładł się cieniem na niemal każdym jego zdaniu. Dziwne – myślała, czytając dalej. Aż trafiła na post, który przeczytała niemal jednym tchem. „Dziękujemy, nie skorzystamy”, brzmiał tytuł. Następne słowa ją zahipnotyzowały. „Dopóki walczysz – jesteś zwycięzcą” – pisał.

Coraz bardziej ją fascynował. Ciekawil i sprawiał, że czuła się dziwnie. Słowa, które przeczytała w jego poście, były cytatem. Sebastian kilka tygodniu temu, tuż przed tym, jak się zaczęło psuć między nimi, wysłał jej SMS takiej treści. Natychmiast przejrzała archiwum w swojej nokii. Tak, to są dokładnie te same słowa. Dobrze je zapamiętała, bo bardzo się jej podobały. Tymczasem przysłała już kolejna wiadomość.

„Nie wiedziałem, że masz urodziny” – odpisał. „Nie wiem też, czego ci życzyć, bo nie znam Cię zupełnie. Tak czy inaczej wszystkiego dobrego. A kiedy zaintrygowałem pierwszy raz?”

Wróciła do postu. Zdjęcie z profilu jego galerii miało odnośnik do innego użytkownika. Napisał pod nim: „fotografia dzięki najbardziej znienawidzonej artystce”. Zastanowiło ją to. Weszła. Była to anglojęzyczna strona jakiejś dziewczyny.

Zacząła przeglądać. Kliknęła w odnośnik „see me”. Na zdjęciach niebieskimi oczyma patrzyła na Weronikę blondynka, bardzo ładna. Chociaż właściwie tylko trochę ładniejsza niż on. Zaraz potem zaczęła przeglądać odnośnik „hear me”. Tam z kolei była muzyka. Kilka teledysków z popowo-rockową muzyką. No dobrze, ale jaki ona ma z nim związek? – myślała. Czyżby to była jego ulubiona piosenkarka? – zastanowiła się chwilę, nim wróciła na jego blog.

To nawet dobrze się składa – pomyślała. Wiem już, jaką muzykę lubi. Zaraz, zaraz – dopadło ją niemal w tej samej chwili. Ta myśl była jak otrzeźwienie. W lip-

cu napisał przecież: „Tak lubię Twój zapach, choć nie czuję go teraz. Brak Cię na wyciągnięcie ręki. Nie czuję ciepła Twego ciała i ognia Twej duszy. Gdzie jesteś, kochana?” Potem spojrziała na styczniowy post. Tam zaniepokoiło ją jego zdjęcie. To znaczy nie była pewna, czy to on, ale tak przypuszczała. Mężczyzna z fotografii siedział prawie całkiem odwrócony, tyłem do obiektywu, na wysokim, morskim brzegu. I miał aparat, zatem prawdopodobnie to był on. Najgorsze, że pod zdjęciem był odnośnik z imieniem i nazwiskiem autora zdjęcia. Kliknęła i przeniosła się znów do tej samej galerii. To była strony tamtej wokalistki. Oglądała, po czym spojrziała na adres: www.aniaszulc.com.

– Jasna cholera – mruknęła ponuro.

Zdenerwowało ją to. Niemal się wściekła, bo to mogło oznaczać jedno. To ktoś ważny dla niego. Dziewczyna, ale najprawdopodobniej, co gorsze, żona. Bo że to siostra, to wykluczone. Nie była do niego ani trochę podobna. Data umieszczenia postu sugerowała na szczęście, że był dodany już kilka miesięcy temu. To dobrze – myślała – przez kilka miesięcy może wydarzyć się wiele.

Nagle dzwonek jej nokii zadźwięczał. Nowa wiadomość tekstowa. Aha, od Sebastiana.

„Mój Aniele, wszystkiego dobrego...” E, tam, życzenia – zirytowała się. Nie teraz. Ten widocznie nie może się jeszcze pogodzić z rozstaniem albo nie dotarło do niego, że między nimi już koniec – pomyślała o byłym. No, nie do końca byłym, bo jeszcze się oficjal-

nie nie określiła. Powiedzmy, nie doszło jeszcze do porozumienia stron – przyszło jej na myśl. Rozweseliło ją to. Odłożyła telefon.

Przeczyta wszystkie posty na blogu nieznanego z lotniska – postanowiła. W jednym z nich pisał: „Mam stopę rozmiaru czterdzieści i więcej niż metrowy obwód klatki piersiowej. Bez stanika, którego naturalnie nie noszę”.

„Zaintrygowales mnie, pisząc do mnie po raz pierwszy” – natychmiast napisała nową wiadomość. „Naprawdę nosisz buty w rozmiarze czterdzieści?”

Z tymi butami to w sumie niedobrze – dopadła ją dziwna myśl. To znaczy z rozmiarem. Istnieje przecież taki przesąd, że mężczyźni mający małą stopę mają też małego penisa. W sumie nie powinno mieć to dla mnie jakiegokolwiek znaczenia – złapała się. Kwestia jego penisa jednak ją zainteresowała i to akurat było bardzo dziwne.

Odłożyła komputer i zajęła się własnymi sprawami. Cały dzień jednak wracała do niej uporczywa myśl o mężczyźnie, który jak dotąd był dla niej tylko słowami, które czytała na ekranie i które ją intrygowały.

Ta anonimowość internetu była pociągająca, a fakt, że ich spotkanie jest nieuniknione – jeszcze bardziej. Czekala, aż będzie mogła przejrzeć wiadomości. Do skrzynki wróciła dopiero wieczorem. Wcześniej nie mogła. Nie rozczarowała się jednak. Nawet więcej: jego następne słowa tylko podsyciły jej ciekawość.

„Powinniśmy się lepiej poznać” – przeczytała wieczorem. „Mam wrażenie, że mamy sobie coś więcej do powiedzenia” – pisał. „Tak, noszę buty w rozmiarze czterdzieści, czasem czterdzieści jeden”.

Muszę go sprawdzić – było ostatnią jej myślą, nim zapadła w sen.

23.

Niech to świadczy na moją niekorzyść. Tak, tak, Wysoki Sądzie, jestem autorem tej wiadomości i nie wyrzekam się tego – myślał. Nie urodziłem się, aby zdradzać swój los, więc kiedy pchnął mnie ku niej, postawiłem krok następny. Pisałem dalej niebacznym o zagrożenie, w oczekiwaniu na odpowiedź, która wkrótce rzecz jasna niestety nadeszła.

„Śmiała wiadomość. Proponuję przejść na jakiś komunikator” – przeczytałem już następnego dnia rano. „2771837” – odpisałem, podając jej numer GG.

Był wtorek – pamiętam dokładnie. Zdziwiający. Niektóre fragmenty moich wspomnień są tak wyraziste. Musiałem jechać do Warszawy. Szykowało się wydanie następnej powieści i naczelny chciał coś jeszcze ustalić przed wydaniem. Kiedy wróciłem, czekała już na mnie wiadomość od niej. W prawym dolnym rogu monitora mrugała zachęcająco żółta karteczka.

– „Dopóki walczysz – jesteś zwyciężcą” – piękne i mądre słowa – pisał ktoś nieznajomy. – Przepraszam, ale nie umiałam się powstrzymać.

Wiedziałem już, że przeczytała mój blog. A zatem wiedziała, że piszę. Nie wiedziałem, co jeszcze wie. Wkrótce miałem się tego dowiedzieć.

Wystukałem na klawiaturze kilka słów. Tak wypadło, tak się umówiliśmy. Bez zbędnych emocji, tak by nikt nie wiedział, pod chropowatą skórką tajemnicy, pod którą miała być tylko sama słodycz czegoś, co mnie czekało. Jeszcze nie wiedziałem czego.

Niczym ćma krążyłem wokół ognia i zebrałem żniwo tej fatalnej decyzji. Tymczasem przeprowadziliśmy pierwszą prawdziwą rozmowę, tyle że za pośrednictwem komputerowego komunikatora. Nic to, powie wielu z was. Rozmawiając z kimś przez internet, robisz przecież to samo, co w czasie zwykłej, prawdziwej rozmowy. Poznajesz drugiego człowieka przez słowa pisane zamiast wypowiedzianych. Z tą różnicą, że sieć wywołuje o wiele więcej złudzeń. A najbardziej mylące jest poczucie bezpieczeństwa. Tamtą rozmowę i wszystko, co dotąd sobie już przypominałem, mogę porównać tylko do jednego. To tak, jakby z uśmiechem wyjść przed pluton egzekucyjny i będąc oddzielnym od każdego z kilkunastu wycelowanych w klatkę piersiową karabinów maszynowych weneckim lustrem, robić makijaż. Tak też było w moim wypadku.

– Witaj.

– Cześć – odparła.

Natychmiast przyznaję szczerze, że wartość mego zeznania musi być poddana pewnym wyjaśnieniom. Ta rozmowa jest już dla mnie niemożliwa do odtworzenia

w dokładnej treści. Mam tylko mglisty zarys tematów, które poruszyliśmy, i uczuć, jakie mnie dopadły w jej trakcie. Dialog ten jest tylko wyłącznie ołówkowym szkicem tego, co naprawdę tamtego czwartku się wydarzyło. Zamiast wymiany zdań, które tak dobrze czasem jeszcze pamiętam, widzę ogromne dziury. I to, co stało się potem.

– Widzę – zacząłem – że sprawdzałaś mnie w sieci.

– Troszeczkę.

– Hm... To niedobrze.

– Tak? A to dlaczego?

– Bo brak w tej relacji – pisałem zgodnie z rzeczywistością – równowagi.

– Równowagi?

– Tak. Wiesz więcej o mnie niż ja o Tobie.

– Ach, rozumiem – odparła po chwili namysłu.

– Koniecznie musisz coś o sobie opowiedzieć więcej – dodałem.

– Dobrze, niech będzie. Od czego zacząć?

– Myślę, że powinniśmy się sobie przedstawić – odparłem.

– Faktycznie, pisaliśmy do siebie wiadomości, ale nie przedstawiliśmy się sobie – przyznała przytomnie.

– Tak więc mam na imię Maksymilian.

– A ja jestem Weronika.

– W takim razie miło mi Cię poznać, Weroniko.

– I mi Ciebie także, Maksymilianie.

– Nie lubię, kiedy mówi się do mnie „Maksymilian” – odparłem zgodnie z prawdą.

– Dlaczego? Przecież Maksymilian to ładne imię. Ja nie lubię, kiedy do mnie mówią „Weronika”.

– A ja, kiedy do mnie mówi się „Maksymilian”.

– No to jak do Ciebie ludzie się zwracają? – pytała.

– Maksik... Choć na lotnisku funkcjonuję jako Maks.

– Niech będzie Maks – zgodziła się po chwili.

– Skoro część oficjalną, Moja Droga, mamy już za sobą, możemy przejść do konkretów. Zatem opowiedz coś więcej o sobie.

Dalsze reminiscencje tej żalosznej w skutkach rozmowy skupiają się w mych zamglonych wspomnieniach na trzech faktach, niczym jądrach komórek dialogu, które postaram się zaraz odtworzyć, możliwie z najwyższą starannością i determinacją godną wizji lokalnej. Pozostałe wątki poboczne, które z pewnością istniały, uleciały już w lubieżne mroki zapomnienia.

– Właśnie skończyłam dwadzieścia pięć lat, o czym już wiesz – zaczęła swą prezentację.

– Tak, wiem. Wszystkiego dobrego raz jeszcze.

– Dziękuję. Skończyłam studia, została mi tylko jeszcze do napisania praca magisterska.

– A masz chociaż temat? – zapytałem zainteresowany, z racji tego, że klawiatura była mym dłużym młotkiem. I niejedno w swoim życiu napisałem. Czasem literat musi skurwić się do cna pisaniem dla kogoś.

– Mam, ogólny.

– Ogólny – powtórzyłem – a to interesujące. A co to za uczelnia?

– Wydział Wychowania Fizycznego i Fizjoterapii.

– W Opolu na Prószkowskiej? – zadałem pytanie nieprzypadkowo. Po ostatnim zdaniu wiedziałem już, że los wywniął nam figła. Tak się akurat zabawnie złożyło, że ukończyliśmy tę samą uczelnię.

– Tak. Skąd wiesz? – pytała.

– Byłem tam kiedyś – odparłem najzupełniej zgodnie z prawdą.

– To mój drugi kierunek. Wcześniej zrobiłam licencjat z administracji.

– Na uniwersytecie?

– Tak.

– Ile masz czasu na napisanie tej pracy?

– Trzy miesiące.

– A to nie najgorzej – odparłem. – Byłem, i jestem nadal pewien, że można w takim czasie napisać każdą pracę magisterską.

– No, nie wiem.

– Ale ja wiem! :-)

Następne wersy dotyczyły czegoś, czego z dna szuflady mej pamięci wydobyć nie mogę. Knuje się tylko gdzieś pod czaszką coś na kształt tego, że padły słowa:

– Ty już pewnie dawno skończyłeś studia, prawda? – pytała.

– To widać tak od razu?

– No, nie, ale tak sobie pomyślałam tylko...

– Tak, jestem już magistrem. Od kilku lat.

– Hm. Fajnie masz. A czego jesteś magistrem?

– Wychowania fizycznego.

Kursor migał wyraźnie dłużej niż zwykle. Niepokojąco długo. Kiedy wreszcie przestał, na ekranie wyświetliło się kolejne pytanie.

– W Opolu?

– Tak – odparłem.

– Wygląda na to, że skończyliśmy tą samą uczelnię – podsumowała.

– Na to wygląda. Ale wiesz co?

– Uhm?

– Ma to też swoje dobre strony.

– Mianowicie?

– Kiedy już się spotkamy i nie będziemy mieć tematu, możemy rozmawiać o naszych wykładowcach. Z pewnością mieliśmy wspólnych. To taka nasza ewentualna polisa na wypadek głuchej ciszy w trakcie naszej pierwszej... Naszego pierwszego spotkania.

–Taaak! Masz rację. Ale wiesz, co myślę? – odparła po chwili wahania.

– Słucham.

– Myślę, że będziemy mieć o czym rozmawiać.

– Mam taką nadzieję. A, właściwie, kiedy wybierasz się na lotnisko?

– W weekend na pewno się tam pojawię.

– Dobrze się składa – skwitowałem. – W sobotę mam zaproszenie na takie niewielkie, kameralne ognisko, więc chyba się spotkamy.

– Chyba tak. Mają być skoki, więc jeśli będzie też pogoda, to w sobotę albo w niedzielę na pewno tam będę. Będziesz skakał?

– Nie, w weekend skakanie sobie odpuszczam.

Pogoda była. Byłem na lotnisku. Była też ona. Po pierwszej rozmowie postanowiłem dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Wszedłem na naszą-klasę. Nie wiedziałem o niej nic poza tym, jak ma na imię. Właściwie nie pamiętam nawet, jak to się stało, że je znałem. Tak czy inaczej ludzie z aeroklubu, byli wpisani w jedną z klas. Wiedziałem już, jakie nosi nazwisko. Pochłonałem wszystkie informacje o niej tam zawarte i jedna przykuła mój wzrok: „...no i rekordzistka świata :p -> Domino Day 2005 i 2008”.

Zaintrygowała mnie. Wpisałem jej imię i nazwisko w wyszukiwarce. Trzeci wynik wyszukiwania odnosił się do Facebooka. Jedno kliknięcie i już widziałem jej zdjęcie. Zawieszona na pasach nad polem klocków domino. Kolejny wynik wyszukiwania nosił tytuł: „Strona wychowania fizycznego – Prószków Biega 2009”. W kwietniu startowała w przelajach. Była druga. Następny wynik: „Wodne Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe” – i ona, kierownik drużyny. Internet, bezwstydnik.

24.

Odgrzebując wydarzenia tamtych dni z popiołów, tego, co zostało z krótkotrwałego połączenia naszych

dusz, dochodzę do smutnej konkluzji, że niewiele tam widzę błyskotek. Zamiast tego mam czerniejący goryczą brud pod paznokciami. Dlaczego tak się dzieje? Nie wiem, nie moja w tym rzecz, by teraz odsiewać ziarno od plew. Pamiętam – myślał – jedną rzecz niewątpliwie. Tego dnia, kiedy po raz pierwszy dotknąłem jej zimnej dłoni, rozmawialiśmy przez Gadu-Gadu raz jeszcze. Uważam, że stało się to w sobotnie popołudnie.

– I jak lotniskowe plany na dziś? – zapytałem.

– Dobrze. Właśnie czekam na Izę – odparła.

– Kim jest Iza?

– Moją koleżanką. Ma ze mną wybrać się na lotnisko, a teraz jedź do mnie. Czekam na nią właśnie.

– Rozumiem, a skąd jedź do Ciebie? – drażyłem temat.

– Ze Śląska. Z Tarnowskich Gór, zdaje się.

– Rozumiem.

– A Ty?

– Przyjadę na ognisko – odparłem.

– Jakie ognisko?

– Kameralne, że tak powiem, szybowcowe. Wspominałem ci.

– Nie pamiętam.

– No cóż. Trudno. Ma być tylko kilka osób. Dlatego właśnie odpuściłem sobie skoki.

– Aha. Kiedy przyjedziesz?

– Przed zachodem słońca.

– Ach tak. My będziemy tam znacznie wcześniej. Chciałybyśmy jeszcze skoczyć choć raz. Nie masz ochoty skoczyć? Dlaczego będziesz tak późno?

Spojrzałem za okno. Zupełnie niepotrzebnie, bo przecież odkąd wzbilem się po raz pierwszy w powietrze, ciągle spoglądam w niebo. Liście drzew z gałęziami intensywnie się ruszały.

– Niestety, to dzień szybowcowy. Kiedy latam, nie mogę skakać, taka jest umowa z dyrektorem aeroklubu i szefem wyszkolenia. Nie mogę łączyć aktywności dwóch sekcji jednego dnia. I dla mnie jest zbyt wietrznie. A zresztą i tak nie ma nas tylu, aby można było zorganizować latanie.

– Jak to?

– Żebyśmy mogli polatać, musi być mechanik wyciągarkowy, ktoś, kto będzie jeździł ściągarką. No i pilot. Co najmniej jeden, choć jeden to zdecydowanie za mało.

– Czyli nie możesz sobie przyjechać, tak po prostu wsiąść w szybowiec i polecieć?

– Niestety.

– Rozumiem. Wiesz, nie znam się na szybowcach.

– Nie martw się. Ja też nie znam się na szybowcach. A jeśli już, to w tej kwestii jako pilot-skoczek znam się najbardziej na spadochronach szybowcowych – zażartowałem. – Ale mam nadzieję, że na nich też za bardzo nie będę musiał się znać.

– Niby dlaczego?

– Z szybowca skaczemy, kiedy nie nadaje się do lotu. A szczególnie do lądowania.

– Nie wiedziałam, że macie ze sobą spadaki.

Uśmiechnąłem się do monitora. Zastanawiające... – pomyślałem, będąc rozdartym między dwoma światami: szybowcowym i spadochronowym. Na tę samą rzecz, na spadochron, mówi się zupełnie inaczej: skanki dla szybowców, spadaki dla skoczków.

– Tak, spadaki mamy zawsze ze sobą – odparłem.

– Myślę, że będziemy mogli ze sobą porozmawiać jeszcze o spadochronach.

– I szybowcach – dodałem.

– Taaak...

– Czyli dziś się spotkamy?

– Tak, dziś się spotkamy – powtórzyła. Po czym dodała: – Mam bardzo zimne dłonie, wiesz?

– Sprawdzę to za kilka godzin.

– Czeka. Do zobaczenia.

Pamięć to tylko funkcja, jak rozmrażanie w mikrofalówce. Emocje mają jedynie lepiej wyposażone modele. Jak telefony z aparatem fotograficznym, cztery miliony megapikseli. Każdą funkcję można jednak pominąć albo chociaż wyłączyć. A każdy telefon jest tylko gadżetem, po kilku miesiącach zupełnie już przestarzałym. Zupełnie jak miłość.

25.

Ciszę przerwał dzwonek. Telefon Weroniki zabrzmiał dźwiękami gitar Aerosmith. Dziewczyna przerwała pakowanie plecaka i z telefonem przy uchu podeszła do parapetu.

– Cześć, malutka – z uśmiechem rzuciła, spoglądając w niebo za oknem.

– Cześć, spadochroniarka – usłyszała w słuchawce.

Poznały się na szkoleniu w Chrcynnie. Zaprzyjaźniły się i czasem spotykały, zawsze jednak przy okazji skoków. Iza była tak samo atrakcyjną kobietą jak Weronika. Ta jednak była od niej zupełnie inna.

Dziś Weronika, wcześniej ułożywszy plan, jak uwieść Maksa, zaprosiła Izę do siebie. Przyjaciółka spadochroniarka była jej dzisiaj potrzebna. Dostała rolę skrzydłowego.

– Jedziesz?

– Za pół godziny powinnam być u ciebie – odparła dziewczyna za kierownicą czerwonego peugeota, zerkać na zegarek.

– Super. Stęskniłam się za tobą, wiesz?

– Ja też. A co u ciebie? Dawno się nie widziałyśmy.

– Dawno. Ostatnim razem w Chrcynnie chyba – odparła niepewnie.

– Werka, co z tobą? – przyjaciółka zganiała ją. – Zapomniałaś o skręcie w kabinie Turboleta w Żdzirosławicach?

– A tak, racja. – Twarz stojącej ciągle przy oknie Weroniki natychmiast się rozjaśniła. – Zapomniałam zupełnie.

Widziały się w międzyczasie. Na strefie spadochronowej w Mirosławicach koło Wrocławia. Już w samolocie, kiedy Turbolet przechylił się w locie, jej kask potoczył się po podłodze wprost pod nogi skoczka, którego potem wieczorem razem podrywały. Wtedy też wymyśliły nazwę „Żdzirosławice”.

– Do tej pory pamiętam tamte skoki – westchnęła patetycznie.

– Taaak – Weronika mruknęła dziwnym tonem.

– Co ci nie pasuje? – natychmiast wychwyciła fałszywą nutę w jej głosie, zawadiacko pytając.

– Nic, nic – odparła natychmiast, przybierając spolegliwy ton. – Chciałam tylko powiedzieć – cedziła wolno przez malujący się na twarzy uśmiech – że pewnie od skoków lepiej pamiętasz...

– Nie zaczynaj! – przerwała jej dziewczyna zza kierownicy.

– Żartowałam. Nie gniewaj się.

Niemal się o niego nie pokłóciły. Opierał się długo wdziękom jednej i drugiej. Albo był wierny temu, co nosił na palcu.

– Masz szczęście, że jesteś moją przyjaciółką. Dawno powinnam cię zabić.

– Ach, panno Izabello – Weronika bronila się, spoglądając na chmury za oknem – nie przesadzaj. To tylko facet.

– Facet – powtórzyła dziewczyna, patrząc zza szyby samochodu na znaki. – Rurka z kremem, nie facet. Był mi wtedy potrzebny. O facecie najlepiej zapamięć dzięki innemu facetowi, sama przecież to zawsze powtarzałaś. I oczywiście co? Moja najlepsza przyjaciółka tę rurkę, tego najfajniejszego faceta na strefie musiała mi zwędzić. Niech cię szlag!

– Nie przesadzaj. Był przereklamowany.

– Wolalabym sama to sprawdzić.

– E, tam. Nic specjalnego, zapewniam. A, wierz mi, znam się – Weronika rzuciła z uśmiechem.

Nigdy nie przyznała się, jak było naprawdę. Kiedy zostali sami, puścił piosenkę zespołu RH+ i odparł, że już jest zakochany. W niej. A potem kochali się, tak jak nigdy wcześniej tego jeszcze nie robiła. Był naprawdę niezły.

– A tak, tak – Iza potwierdzała z przekąsem. – Nie wątpię. Masz szczęście, już ci wybaczyłam. Ale naprawdę chciałam cię wtedy udusić.

– Jesteś kochana. Co u ciebie?

– Status quo, po staremu.

– Jeszcze się z niego nie wyleczyłaś?

– Jestem zupełnie inna niż ty.

– Owszem – odparła.

Wyczuła w ostatnim słowie przyjaciółki cień wyrzutu. Nie przejmowała się tym jednak. Kropelkę gorczy przysłała jej radość spotkania. Tym bardziej że niewiele miała koleżanek. Jej świat był światem mężczyzn. A z nią razem po raz pierwszy skakała, więc mimo że

były zupełnie innymi kobietami i mieszkały daleko od siebie, połączyła ich pasja. Od tamtych AFF-ów spotykały się zawsze przy okazji skoków. Cóż, spadochroniarstwo to jednak w głównej mierze męski świat, więc było o czym rozmawiać. Oprócz skoków rzecz jasna.

– A ty? Jak tam z Jarkiem?

– Jarkiem? – prychnęła znacząco. – Widzę, że ostatni raz rozmawialiśmy jeszcze w lipcu.

– Na początku. Wtedy w Żdzirosławicach.

– No tak. Nic dziwnego, że nic nie wiesz.

– No to mów, ciekawa jestem jak diabli.

– Muszę się pakować. Pogadamy wieczorem. Teraz tylko tak w skrócie, *right?*

– *Right!*

– Z Jarkiem – zaczęła, rozglądając się za kaskiem i rękawiczkami do skoków – zaraz po tamtych Mirosławicach wszystko się skończyło.

– Jak?

– Pojechałam z siostrą na Mazury. Skumałam się z takimi dwoma, co mieli jacht, i pojechałyśmy z Ewą na tydzień. Mówię ci, było, och – westchnęła z rozmarzeniem – było naprawdę zajebiście.

– No, ale co dalej? Co z Jarkiem?

– A, no nic. Czulałam, że nic z tego chyba nie będzie. Drugi raz trudno wejść do tej samej rzeki. Pojechałam, chociaż nie podobało mu się to bardzo.

– Nie dziwię się. Ale sorki – przeprosiła – mów dalej.

– Wiesz, dzwonił do mnie, wysyłał SMS-y, a ja zamierzałam się dobrze bawić.

– A co to przeszkadza?

– No, wiesz, wykręcałam się, że nie ma prądu na jachcie, że ładowarkę mogę podłączyć dopiero w porcie, że zasięgu nie ma. Prawda jest taka, że poznałam tam faceta.

– No, jasne! Mogłam się domyślić! Ale ty to sucz jesteś, wiesz? Mów! – dziewczyna prowadząca samochód zachęcała przyjaciółkę.

– Sebastian, ratownik, dokładnie w moim typie.

– No, ale co z Jarkiem?

– Nic. Wróciłam, zerwałam i tyle.

– Aha. A Sebastian?

– No, wiesz, szczególnej przyszłości to raczej nie ma. Poza tym, owszem, jest w moim typie – fizycznie. Ale jest raczej taki, jak zagrał na gitarze i zaśpiewał.

– O jejku – westchnęła z rozmarzeniem – jeszcze z gitarą! Ty to masz fart! Zawsze zgarniasz najlepsze kąski. Co ci zagrał?

– Taką piosenkę. Czekać... Takie słowa: „Ze mną można tylko pójść na wrzosowisko i zapomnieć wszystko” – zanuciła. No, coś takiego.

– Piękne. To, zdaje się, jest Stachura.

– Tak? – zdziwiła się. – Myślałam, że Stare Dobre Małżeństwo.

– Bo... Zresztą nieistotne. Zazdroszczę ci, wiesz?

– Nie ma czego tak naprawdę. Facet jest z Wrocławia, więc, jakby nie patrzeć, to związek na odległość.

– Przecież zawsze powtarzałaś, że chciałabyś zamieszkać we Wrocławiu!

– To prawda, ale nie z nim. Sebastian mieszka w akademiku. Nie ma pracy, poza dorywczą, jako ratownik. Niczego nie ma, niczego nie potrzebuje. Dlatego śpiewał, że mogę z nim tylko iść na wrzosowisko i zapomnieć wszystko.

– W sensie kochanek?

– Coś w tym rodzaju. Poza tym moi rodzice go nie polubili.

– To faktycznie niewąsko – skomentowała po chwili zastanowienia. – Ale jesteś z nim?

– No, wiesz, niby tak – zaśmiała się konfidencjonalnie – ale sądzę, że to kwestia czasu. Wyeksploatował się już.

– Wyeksploatował? – powtórzyła wolno i wyraźnie. – Jak mam to rozumieć?

– Jego pojawienie się pomogło mi skończyć z Jarkiem. Pamiętasz? Opowiadałam ci.

– Ten od alfy romeo?

– I od siłowni.

– Twoja druga wielka miłość?

– Właśnie – Weronika przyznała, uznawszy, że przyjaciółka kojarzy już prawidłowo. – Sebastian spowodował, że rozstanie z Jarkiem przebiegło tak, wiesz...

– Łagodniej? – Iza dokończyła natychmiast pytaniem.

– Tak, dokładnie, łagodniej – przyznała bez cienia wahania. – I teraz już nie za bardzo jest potrzebny. Daleko mieszka, bez przyszłości dla mnie. Poza tym nic do niego nie czuję. Zaczyna mnie drażnić. Był fajną przygodą z Mazur. I tyle.

– Hm...

– Tym bardziej że... – zaczęła zupełnie innym tonem.

– Czekaj! – przyjaciółka natychmiast jej przerwała. – Nie mów, że...

– Tak!

– Jest ktoś nowy?

– Jeszcze nie wiem – przyznała. – Zapowiada się ciekawie.

– Zamieniam się w słuch.

Weronika zastanowiła się chwilę, jak to przyjaciółce powiedzieć. Właściwie nie powinna była nic jej mówić, bo przecież ten cały Maks był... Nie był nawet. Nie poznali się wcale. Wiedziała, czuła z jego strony zainteresowanie, ale jednocześnie nie miała pewności, czy między nimi coś zaiskrzy.

– Jest ktoś, kim jestem zainteresowana.

– Ej, co ty! Jeśli jest ktoś, kim jesteś zainteresowana, tak czy inaczej zawsze jest twój. Nie sądzę, aby urodził się facet, który potrafilby się tobie oprzeć.

Naprawdę w to wierzyła. Mężczyźni nie potrafili przechodzić obok jej przyjaciółki obojętnie. Prawie wszyscy.

– Po pierwsze właściwie jeszcze się nie poznaliśmy
– Weronika zaczęła wyliczankę. – Po drugie wydaje mi się, że jest w związku. I nie jest zupełnie w moim typie.

– Nie rozumiem. Możesz jakoś jaśniej? – poprosiła.

– Nie zapominaj, że jestem blondynką.

– Fizycznie jest zupełnie inny niż wszyscy moi faceci. Nie jest szczególnie przystojny. Jest raczej śliczny.

– Śliczny?

– No. Z taką kobietą urodą. Ma długie kręcone włosy, piękną cerę. Nie jest zbudowany jak facet, a do tego ma piękne długie rzęsy.

– A głos?

– Jak facet, niski, głęboki.

– A dłonie?

– Zadbane.

– Pachnie?

– Nie wiem, ale... z pewnością.

– Znaczą: dba o siebie?

– Na pewno.

– Jejku! To czego jeszcze chcesz?

– I wyobraź sobie, że ma małą stopę.

– O kurczę! – zachichotała do słuchawki. – To co ci po takim facecie? Co cię w nim interesuje?

– To artysta. Pisarz.

– Kto?

– Píše i wydaje książki. Oprócz tego robi fantastyczne zdjęcia.

– O kurczę, ale trafilaś! Zawsze masz szczęście. W Holandii – opalony Portugalczyk. Potem Niemiec z kasą zamiast lodu. Jarek od alfy – zajebiste ciało. Sebastian, ratownik – zajebiste ciało i muzyk. Teraz nie dość, że ciacho, to jeszcze mądry. Pisarz. Nie za dobrze ci?

– No. Sama nie wierzę. Nie spotkałam nigdy nikogo takiego.

– Zazdroszczę. Znasz jakąś jego książkę?

– Nie pamiętam. Coś o deszczu. Sama powinnaś wiedzieć. I znakach zodiaku. To ty czytasz, nie ja.

– Nic nie przychodzi mi do głowy.

– Trudno. Sama go dzisiaj zapytasz.

– Będzie skakał? – Dziewczyna za kierownicą natchmiast się ucieszyła.

– Dzisiaj nie. Jest pilotem.

– W twoim aeroklubie?

– Tak.

– Ale w ogóle to skacze, tak?

– Tak.

– Kurczę, Weronka, to niesprawiedliwe – oburzyła się. – Dlaczego tobie trafiają się najciekawszy mężczyźni? Też chciałabym mieć faceta, który pilotuje samolot, z którego skacze.

– Nie pilotuje samolotów. To szybownik.

– A, to już gorzej, ale i tak fantastycznie. Jedno lotnisko, wspólna pasja, fajnie...

Weronika zastanowiła się chwilę. Tak, przyjaciółka ma rację – przyznała. Może to jest akurat ten mężczy-